

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 2 MAJA 1931 ROKU

NR. 18.

TREŚĆ NUMERU: „Święta miłości kochanej Ojczyzny...” — *Herminja Naglerowa*. Dziesięciolecie powstania górnośląskiego — *Władysław L.* O trochę dyplomacji w metodach kulturalno-oświatowych — *Wanda Borudzka*. Lustro (nowela) — *Max Wit.* Poezje: „Demokracja” — *H. Januszewska*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. 3 maja roku 1917 — *K. Bielańska*. W majową noc — *M. Znatowicz-Szczepańska*. Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Czego wymagają zdrowie i uroda — *Mabel*. O kobiecie współczesnej i kobiecości jako takiej (dok.) — *J. K.* Pranie w opracowaniu naukowym — *Pani Domu*. Wina węgierskie — *Pani Elżbieta*. Koło Studjów Gospodarstwa Domowego — Związek Pań Domu — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”.

„ŚWIĘTA MIŁOŚCI KOCHANEJ OJCZYZNY...”

Polityczny bezwład Rzeczypospolitej ścielił się pod stopy sąsiadów, a młode głosy skandowały wiersz o miłości ojczyzny. „Święta miłości kochanej Ojczyzny” — mówili chórem kadeci-chłopięta, kadeci-młodzieńcy. Słowo, jakby spełniając swoją wyprzedzającą misję, szło naprzód rytmem zwrotki i, gdy się działy najsmutniejsze fakty, słowo stawało się ich wytrwałą, upartą, zacieklą przeciwwagą — stawało się treścią wielu lat bytu-niebytu.

Mistyczna przemiana słowa w ciało dokonała się wreszcie, ale już w tym samym momencie cudu słowo, niosące ideę pokoleń, pierzchło z naszych warg.

Te oczywiste prawdy, które przeżyliśmy my, wprawdzie nie najmłodszy dziś, ale jeszcze młodzi, ubrałam w odświętny strój symbolów nie gwoli stylistycznego patosu. Patoś jest bowiem w samej sprawie, w wielkiej sprawie istnienia narodu, w skupionem pragnieniu umocnienia formy państwowej. Choćby więc poszczególne pozycje naszego dzisiejszego życia wydawały się drobne i mało znaczące, to właśnie gromadny i zgodny wysiłek jest sam przez się — twórczym patosem. Uświadomienie sobie tej wartości pracy zespolonej, jedną ideą scalonej, jest przeto dziś jednym z najważniejszych nakazów.

W okresie niewoli mieliśmy ideowe samopoczucie w „świętej miłości kochanej Ojczyzny” i nawet w rozbieżności programów politycznych był ten wspólny trzon ideowy. Wiedzieliśmy wszyscy, że czerpiemy swoją siłę wytrwania z jednego źródła, z wielkich myśli odrodzeniowych Konstytucji Trzeciego Maja, więc też przekorność losów nie potrafiła osłabić naszej woli. Nasz świat wypełnił się bohater-

stwem i męczeństwem, wzbogacał się pozytywnymi doświadczeniami i dlatego weszliśmy w niepodległy, odrodzony byt z brawurą zwycięzców.

Ale już w następnej chwili przyszła reakcja. Tamto wszystko, co nas wewnętrznie konstruowało, co dawało nam formę istnienia i moralną samowiedzę — nie miało w nowych warunkach zastosowania. Stało się nagle inaczej w nas, gdy wokół nas tak wiele się zmieniło. A może sami okazaliśmy zbyt pochopność do odrzucenia idei, którym służyliśmy w latach niewoli. Chcieliśmy wydrzeć z pamięci zło, choćbyśmy mieli z niem razem zniszczyć wszystko dobre, piękne i wzniosłe, wszystko to, co było, jak „tarcz i puklerz mocny”, w walce z tem złem właśnie.

Rewizjonizm, psychologicznie zrozumiały, miał jednak znamiona negatywne, bo na miejsce dawnych idei nie wprowadzał nowych. Rozbiegliśmy się więc w przeróżne strony, albo szliśmy na siebie we wrogim zapędzie. Tak było, jakbyśmy powstałi z niczego, jakgdyby nasza historia rozpoczynała się od dziś dopiero. Przeszłość, zwłaszcza niedawną, podano niepamięci, a wnet też usiłowano zapomnieć o bohaterstwie współczesnem. Pomniejszano więc wielkość i zasługę dawną i dzisiejszą, aby bez „balastu” rozpocząć nowe życie, nikogo już nie uwielbiać, dla nikogo nie czuć wdzięczności, nie płacić żadnych długów czasom minionym, które to właśnie prowadziły nas za rękę, do wolnej wiodąc Ojczyzny.

Tymczasem jednak, wbrew tej naszej „swobodzie obyczajów”, wbrew tej dezorganizacji moralnej organizowała się myśl państwowa, jako forma naszego nowego bytu. W ferworze burzenia ideałów, nie

odrazu dostrzeżliśmy, że państwo musi — chcemy, czy nie chcemy — zsumować, objąć sobą i w sobie pomieścić to wszystko, co odrzuciliśmy tak lekką ręką. W ramach państwa stwarzają się bowiem nietylko nowe, ku potrzebie współczesności powstające, idee, ale realizują się przede wszystkim zasadnicze idee twórcze, podjęte kiedyś, przed wiekami. To mianowicie, co romantycy nazywali misją, a dawniej pisarze Odrodzenia — celem, co później uzasadniało się naukowo: przyrodą, klimatem, rasą, jest właśnie nieuniknionym, koniecznym imperatywem tego lub innego państwa. Nie od dziś bowiem, nie od tej, właśnie obecnej chwili rozpoczyna się sprawa Bałtyku dla Polski, nie od dziś włącza się w ramy Rzeczypospolitej zagadnienie Rusi Czerwonej, Białej i Litwy. Nie od dziś też rozpoczyna się liberalizm polski, skoro mamy świadectwo myśli politycznej Jagiellonów w zadziwiającym dziele Modrzewskiego. Są pewne stałe motywy ideowe, powtarzające się w naszych dziejach, może zakłęte w naszą formę państwową przez mitycznego Piasta, a może dopiero genjuszem Chrobrego wywołane na jaw.

Odrodzone państwo polskie zawiera więc w sobie wypracowaną przez wieki przeszłe ideę i z tą ideą idzie w wieki przyszłe. Dlatego nie wolno nam z pamięci wyrzucić tych okresów i momentów z naszych dziejów, w których idea iściła się, jako czyn polityczny, czy jako jednostkowe bohaterstwo. Musimy wrócić do swoich odwiecznych spraw, do źródeł własnego życia państwowego, aby zrozumieć siebie dziś, kiedy wydajemy się sobie nowymi, innymi. Sądzę, że dziś właśnie głębszy jest sens narodowych rocznic, jako sięganie do ideowych zaczątków, do samej istoty zadań naszego państwa.

Sprawa dzisiejszej ideologii państwowej musiała wreszcie wejść na porządek dzienny, co więcej, musiała zapanować nad wszystkim innym, jako czynnik teraźniejszej i przyszłej mocy Rzeczypospolitej. Ideologia państwowa musi jednak przede wszystkim stać się systemem wychowawczym, wejść w program naszych szkół, albo, więcej jeszcze, być kanwą, na której rozmieści się wielobarwny deseń „szkolnych programów“. Tak bowiem, jak z ideologii Komisji Edukacyjnej wyszła trzeciomajowa ustawa, tak z naszej dzisiejszej szkoły wyjść musi obywatel, państwowo myślący i czujący. Nie osiągnie się tego ani formułą, ani samą tylko dyscypliną, lecz właśnie pragmatycznym, historycznym rozumowaniem. Rewizjonizm w nauce historii, stosowany odpowiednio, nie zaszkodzi wieczystym prawdom, nie zmieni bowiem zasadniczych motywów w dziejach naszego państwa i narodu.

Niemniej też ważną sprawą jest t. zw. kult dla jednostek. Wielcy ludzie byli bowiem albo prekursorami idej, albo ich świetnymi wykonawcami. I zawsze już pozostanie ta prawda, że nie ze wszystkim

umierają wielcy ludzie. Choćby ich odbronzowić, choćby ich spowszednić szlafrokiem i pantoflami — miejsce ich w Plutarchowej księdze. Wrócić nam więc trzeba do owych sławnych i zasłużonych, do Zamojskich, Stasziców, do Kochanowskich i Mochneckich, do Sobieskich i Dąbrowskich. Zapewne — i im deptała po piętach zawiść-pomniejszycielka, ale historia zdołała już postawić ich na należnym miejscu. Wódz, pisarz, działacz, statysta — wszyscy oni kontynuowali, posuwali naprzód, rozszerzali i umacniali ideę państwa, jako zorganizowanej gromady ludzkiej. Tem samym uczestniczyli w pospólnej sprawie ludzkości. Zwłaszcza my, Polacy, mieliśmy wielkich, którzy wzbogaciłoby mogli nietylko Rzeczpospolitą, ale ludzkość całą. Nibyto działali na swoim odcinku, na tej ziemi polskiej, otwartej na wschód i zachód, na tej ziemi „przechodniej“, ale nadszedł moment, żebyśmy nietylko my sami znali Staszica, Ignacego i Stanisława Potockich, Kollątaja, jako umysły, stwarzające pozytywne, państwowotwórcze koncepcje. We Francji encyklopedyści wywołali wielką rewolucję, u nas Staszica „Uwagi“ konstruowały wspianą ideę państwową w Konstytucji Trzeciego Maja.

Na to właśnie potrzebna jest specjalna metoda historyczna w naszym systemie wychowania. Trzeba więc, aby dziewczynka, czy chłopiec, uczniowie naszych szkół, nietylko wiedzieli, jak i co było za rządów Zygmunta Starego, ale z daty, z faktu, nawet z błędu politycznego zrekonstruowali sobie daleki początek chwili obecnej, więc ciągłość ideową państwa.

Nie znaczy to, że historia po dawnemu została nauczycielką życia, ale, że wiedza o swoim kraju, o dziejach swojego narodu i państwa nadaje wartość każdoczesnemu dzianiu się i że to jest coś, co trwa, w czym obywatel mieści się i uczestniczy.

Wydało się nam wskazane właśnie na marginesie rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja rozważyć rolę historii w wychowaniu młodego pokolenia. „Dzieje ojczyzny“ spełniały zresztą swoje zadanie w księgach Długosza, w licznych tomach Naruszewicza, były potem biblią narodu w okresie niewoli, były jego elementarzem. Ale w każdej epoce miała historia narodu inne cele i inną przybierała postawę wobec chwili bieżącej. Zmienność tendencji domagała się również zmiany w metodzie nauczania. Czasem wystarczała fragmentaryczność, ilustrująca jeden moment dziejowy dla pokrzepienia ducha, albo utrzymania w napięciu poczucia krzywdy narodowej. Dziś „tendycyjność“ historii naszego narodu wyrażać się musi w naświetlaniu idei państwowej i w wychowywaniu młodzieży w cześć dla zasłużonych jednostek.

Dawne, chórem mówione słowa: „Święta miłość kochanej Ojczyzny...“ nabiorą tak nowej treści, bo miłość ojczyzny — to dziś tak samo wierna, tak samo wzniosła i tak samo ofiarna — służba dla dobra, wielkości i siły państwa.

Herminja Naglerowa.



DZIESIĘCIOLECIE POWSTANIA GÓRNOŚLĄSKIEGO

(2.V.1921 — 2.V.1931)

Po dwóch nieudanych powstaniach w latach 1919 i 1920, po wszystkich udrękach, jakie twardy lud górnośląski wycierpiał w ciągu wieków, przyszła wreszcie 20 marca 1921 „międzynarodowa sprawiedliwość“ w postaci plebiscytu. W jego wyniku, niemal 80 proc. gmin na prawym brzegu Odry wypowiedziało się za Polską, dając przytem łącznie bezwzględna większość głosów¹⁾.

Zdawałoby się, że na podstawie jedynie tu miarodajnej zasady samookreślenia ludności — wspaniałej i nowej idei amerykańskiego prezydenta Wilsona — sprawa załatwiona jest definitywnie. Pogląd ten okazał się jednak mylny. Chociaż ogromna większość gmin górnośląskich oświadczyła się za przynależnością do Polski, mimo to wysunięto na forum międzynarodowym nowe objejeje, przekreślające niemal, uznane przez całą Europę, prawo wielkiego Amerykanina.

Nad zielonym stołem „międzynarodowej sprawiedliwości“ zawisł nowy miecz do wycinania granic na żywym organizmie narodu: zasada ekonomiczna.

Pochodzenie tej zasady jest grubo podejrzanę. Wiele rzeczy wskazuje na to, że wyzyskała ją dyplomacja niemiecka, łącząc sprawę niemieckich długów wojennych ze sprawą Górnego Śląska.

„Gdy odbierzecie nam wszystkie okręgi przemysłowe G. Śląska, nie będziemy mogli płacić“ — powiedzieli Niemcy.

„Międzynarodowa sprawiedliwość“ — zagrożona bezpośrednim uderzeniem w kieszeń — poddała szybkiej rewizji wielkoduszne przykazanie Wilsona. Tak oto wypłynęła zasada ekonomiczna, w myśl której ostateczny podział Górnego Śląska przeprowadzić miała Komisja Międzysojusznicza. Gdy następnie w tej Komisji przedstawiciele Anglii i Włoch wykonywali plan podziału, będący oczywiście pogwałceniem wyników plebiscytu, lud śląski poraz trzeci stracił cierpliwość...

W nocy z 2-go na 3-ci maja wybuchło trzecie powstanie górnośląskie.

„Nie jako powódź, która by ze wschodu lub południa przedarła się w głąb kraju, ale jak woda zaskórna, podnosząca się nagle i zalewająca ziemię — tak, znaczną część G. Śląska zatopiła w jednym momencie powódź band powstańczych“²⁾ —

pisze historyk niemiecki, dając najoczywistsze świadectwo, że powstanie było żywiołowym, spontanicznym odruchem ludności górnośląskiej.

¹⁾ Adam Przybylski: „Wojna polska 1918 — 1921“.

²⁾ Herman Katsch: „Der Oberschlesische Selbstschutz im dritten Polenaufstande“. Berlin 1921 — str. 16.

Przywódcą powstań górnośląskich, a ściślej ich kierownik polityczny, Wojciech Korfanty, w nocy do rządów sprzymierzonych z dnia 3-go maja 1921, określił ruch zbrojny, jako skierowany przeciw Niemcom,

„których panowania nie zniesie lud“

i oświadczył, że

„lud ten zdecydowany jest raczej na to, by wojska aljanckie wysiekły go co do jednego, niż, żeby miał ponownie schylić karku pod jarzmo pruskie. Lud ten raczej zniszczy wszystkie kopalnie i huty, oraz inne warsztaty pracy, niżby miał kapitulować.“³⁾

Niestety, ze strony kierownictwa były to tylko słowa, z którymi czyny nie poszły w parze. Zaprzeczono możliwość stworzenia faktu dokonanego przez wykorzystanie zaskoczenia, jakim jednak trzecie powstanie było, nie tylko dla Komisji Międzysojusznicznej, ale także dla Niemców.

Wbrew sukcesom oręża, opuszczano zajęty teren na żądanie Komisji, co skwapliwie wyzyskiwali Niemcy, nieliczący się z jej rozkazami.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na ogólnikowe nawet omówienie taktycznego przebiegu powstania. Można tylko stwierdzić, że błędy kierownictwa, uzależniające ruchy sił od dyplomacji, zamiast oparcia dyplomacji na sile, nader ujemnie wpłynęły na dalszy rozwój wypadków.

Miarodajną będzie tu opinia angielskiego korespondenta „Manchester Guardian“, który w broszurze p. t. „Anglik o Górnym Śląsku“ pisał w czerwcu 1921⁴⁾:

„Trzecie powstanie górnośląskie nie spełniło swej roli, gdyż oddzieliło kopalnie i fabryki od ich rynków zbytu i nie zajęło wielkich miast“.

W przeciwnym wypadku:

„byłoby w stanie postawić Ententę wobec faktu dokonanego utworzenia państwa powstańczego, zabezpieczonego przeciw zewnętrznym i wewnętrznym niebezpieczeństwom, zanim jeszcze kryzys przemysłowy okazał się tak groźny“.

Ostateczna likwidacja powstania, po dłuższych targach z Komisją Międzysojuszniczną, nastąpiła 5 lipca 1921.

Jakkolwiek powstania śląskie nie dały takich rezultatów, jakie osiągnąć mogły, to jednak posiadają one dla całokształtu problemu Górnego Śląska znaczenie rozstrzygające. Przedewszystkiem okazały zdumionej Europie, że większość ludu śląskiego posiada

³⁾ Dr. Adam Benisz: „Górny Śląsk w walce o polskość“. — Katowice 1930. Str. 244.

⁴⁾ Dr. Stanisław Rostworowski: „Taktyczny przebieg trzeciego powstania Górnośląskiego“ — „Bellona“ 1922. Str. 135.

uświadomienie narodowe i, mimo przeciwności oraz przeszkód, gromadzonych przez wieki, uparcie trwa w swej chęci należenia do Polski.

Oprócz tego dały powstania Ślązakom rzecz znacznie ważniejszą. Przyniosły to, co niesie za sobą zawsze zaszczytna ofiara krwi, a mianowicie zrab tradycji nieustraszonej rycerskiej walki o niepodległość. Od czasu powstań rozwój ideologii polskiej na Górnym Śląsku postępuje stale, czego dowodem wyraźnym jest statystyka frekwencji w szkołach polskich i niemieckich, z każdym rokiem zmniejszająca powoli, ale stale, cyfry swych tablic na naszą korzyść.

Na tem tle problemu państwowego pierwszorzędnej wagi, rola kobiety-polki na Górnym Śląsku urasta do wyżyn symbolu.*) Długa lista działaczek narodowych z powstań górnośląskich daje rękojmię, że wychowanie przyszłego pokolenia pogłębi wspaniałe tradycje i ich kult, niezbędny dla czujnej straży zarówno na samych Kresach ojczystych, jak i na poza nie eksponowanych placówkach polskości.

Władysław L.

*) Nr. 24 „Bluszczu“ z r. 1929 całkowicie był poświęcony pracy społecznej i oświatowej kobiet polskich na Górnym Śląsku (przyp. Red.).

O TROCHE DYPLOMACJI W METODACH KULTURALNO-OŚWIATOWYCH

II.

W zakładanych przez specjalnych instruktorów warsztatach wiejskich, w szkołach rolniczych i ogrodniczych, w domach ludowych, na lotnych kursach, przy uroczystych obchodach popołniamy tysiączne omyłki. Zakupujemy bezkrytycznie tkaniny, prowokując wyrabianie tandety, szyjemy nagwałt stroje krakowskie na Wileńszczyźnie, dziewczyny z Sandomierskiego uczymy góralskich piosenek, łowickie wzory przenosimy na Polesie, wszędzie zaś urządzamy przedstawienia amatorskie z komedijek pseudo-ludowych, pisanych jakimś uniwersalnym dla całej polski narzeczem, reprezentowanem przez „pono — jeno“, „a juści“, „Kachnę“, „hen“ i t. p.

Jeśli w najbliższej przyszłości cała akcja, mająca na celu popierania ludowości, nie zostanie fachowo i ostro scentralizowana, wieża Babel kultu regionalistycznego pomiesza doszczętnie style u górnych stropów i zawali się o wiele prędzej pod nieubłaganym naporem miasta, niżby to uczyniła bez naszej usłużnej pomocy.

Do tej wsi na przelomie, która wyrzeka się swoich skarbów etnicznych, mamy łatwe i proste podejście. Zamiast nawracania jej na utraconą wiarę ludowości, wtłaczania par force w stroje, z których wyrasta, i obyczajowość, która zanika, możemy odwołać się do najelementarniejszego bodźca wszelkiego postępu: chęci i potrzeby zarobku. Znalezienie zbytu, jeśli nie w kraju, to zagranicą, na wszelkie egzotyczne dla niej regionalja i stworzenie nieustających fachowych warsztatów z wykwalifikowanym artystycznym dozorem, podniesie dobrobyt. Akcja ta da się poprowadzić równolegle do odpowiednio zmodyfikowanej propagandy antidotów na zwykłe wiejskie bolączki: uprawy roli, warzywnictwa i ogrodnictwa, hodowli, meljoracyj w chacie i obejściu, praktycznych pokazów gotowania, higieny i pielęgniarstwa w po-

łączeniu z pogadankami naukowemi, etycznymi i społecznymi.

Wszystko to jednak, podawane w dotychczas praktykowany, surowy, niczem nieożywiony i nieokraszony sposób — chybia celu. Nawoływanie do noszenia długich włosów i sukien, wykazywanie np. błogosławionych skutków nieuczęszczania do szynku, bez natychmiastowego uruchomienia lokalu rozrywkowego innego typu, wyposażonego w radjo i kino, nie odniesie żadnego skutku.

Samo życie dyktuje niepraktykowany dotychczas, ale jedynie skuteczny punkt wyjścia. Zapuszczenie w ospale, niechętnie środowisko haczyka z przyętą rozrywki pozwoli nam pokonać wstępne trudności i wytworzy nastrój przychylny i chętny do dalszych eksperymentów. Kurs oświatowy, zjeżdżający do wsi z muzyką, barwnymi plakatami i chorągiewkami, straganikiem łakoci, wstążek i pachnących mydełek, na wstępie urządzający zabawę, uposażoną w atrakcje — niech tam — budy jarmarcznej — czyż nie byłby trickiem, świadczącym o należytem zrozumieniu teatralizacji życia?

Po rozgoszczeniu się i sprawdzeniu uprzednio zdobytych wiadomości o stopniu i skali zasięgu w danej miejscowości zainteresowań ze świata, możnaby zacząć stopniową i ostrożną propagandę tego, co najważniejsze. Konkursy, pokazy, pogadanki — rewje na pożądane przez nas tematy — nawet założone na stałe, lub perjodycznie powtarzane kursy powinny być utrzymane zawsze w ramach pomysłowej inscenizacji.

Rzecz ta dałaby się wprowadzić bez większego nakładu pieniędzy, jedynie kosztem kompletnego zaniku rutyny, przy pomocy niewyczerpanego kapitału pomysłowości.

W skład organizatorów tak pojętej akcji kultu-

ralno-oświatowej musieliby wejść nietylko fachowi działacze oświatowi, ale reżyserzy, aktorzy rewjowi, malarze, feljetoniści i wogóle ludzie o psychice andrusowsko-żakowskiej, rekrutowani z najrozmaitszych środowisk. Ilużby chętnych, entuzjastycznych pomocników dostarczyło harcerstwo i wogóle średnie, czy wyższe uczelnie! Prawda, podawana w formie barwnego feljetonu, nie potępiająca ryczałtem już nabytych quasi kulturalnych zdobyczy, ale stopniowo wyrównująca i prostująca je na miarę istotnych potrzeb danego środowiska, czyż nie będzie zasymilowana chętniej i trwalej?

Ten lekki feljetonowy element powinien przeniknąć wszystkie nasze kulturalno-oświatowe poczynania.

Przy poświęceniu gmachu szkoły powszechnej nie warto rozwodzić się w godzinnym przemówieniu nad jej doniosłym obywatelskim znaczeniem. Prościej i skuteczniej będzie wskazać na świetnie ustrojonych dostojników, zaznaczając, że doszli do tak pożądaných wyników dzięki ukończeniu — takiej właśnie szkółki.

W stowarzyszeniu służących, zamiast obrzucać inwektywami ich jedwabne pończochy, praktyczniej będzie przemycić, jako ostatnie słowo towarzyskiej elegancji, fakt dokładnego (koniecznie różowem my-

delkiem) mycia nóg, przyodziańnych tak ślicznie. Zamiast ukazywania wizji szczęśliwej starości pod bezpiecznym skrzydłem P. K. O., dyplomatycznie będzie zapoznać je z faktem, że żadna hrabina nie włoży na siebie w ciągu bieżącego sezonu krepdeszynu, gdyż ostatnim krzykiem mody jest — batyst krajowy. Zgromadzając poraz pierwszy na odczyt typową półinteligentką publiczność, nie odstraszać jej ze 100 proc. pewnością odczytem o radzie, a związać ze świeżo założoną organizacją pogadankę o podawaniu i nakryciu stołu. Przykłady możnaby mnożyć w nieskończoność. Takie zupełnie swoiste ujęcie sprawy gwarantuje jaknajpomyślniejsze wyniki. Nie powinniśmy się cofać przed zahaczeniem o wszelkie, nawet, zdaniem naszym, ujemne przejawy współczesności.

Snobizm, obyczajowe dziwactwa, pasja wyżycia się — wszystko to, przy odpowiednim podejściu, może stać się motorem postępu obranych za teren działania środowisk.

Trzeba tylko nauczyć się sztuki dowcipnego patrowania, umiejętnego przemycania, obmyślonej i mrówczej w istocie — z pozoru wesołej, improwizowanej roboty nie pod hasłem brutalnego zaorywania, ale łagodnego prostowania ścieżek, którymi — bo tak im wygodniej — zdążają oświata i kultura.

Trzeba — i tu także — nauczyć się dyplomacji.

Wanda Borudzka.

L U S T R O

(nowela)

1)

Renata oddychała lżej. Teraz jej pierś, okryta miękkim, różowym pledem, falowała równo, najrówniej.

Tomasz obliczał pobożnie sekundy spokojnego wdechu, drapieźnie wsłuchiwał się w ton hamowanych przydechów i cichy, gładki szmer powietrza.

Spała. Spała prawdziwie już trzecią godzinę. Jej cienkie, przyzrocyste ręce nie drgały nerwowo, ani na białe, miejscami usiane żółtymi plamkami, czoło nie występowały drobniutkie kropelki potu i śmiertelnej słabości.

Wydało mu się nawet, że pod sterczącą kością zapadłych policzków majaczy przez wiotką skórę, niby przeblysłk rumieńca, nikły ton różowości, jakże inny w zarysie i natężeniu od owych ceglanych plam, rozartych po twarzy gorączką! Zresztą, może tylko odbłask różowego pledu mamił zmęczone spojrzenie Tomasza.

Poraz dziesiąty już oglądał smukłą linijkę rtęci w termometrze, który ostrożnie odwracał pod światło, aby się ostatecznie upewnić, że tylko 36,4, może 36,5, albo trzy, właśnie tyle, ile potrzeba, więc doktor nie przeceniał poprawy...

— Niema już niebezpieczeństwa — oznajmił przed godziną — nie trzeba budzić chorej, nie trzeba—

— tak powiedział: Niema już niebezpieczeństwa, Tomasz. Renata będzie żyła, jeśli żadne nieprzewidziane...

— Panie Tomasz, co pan?... co pan wyprawia? Człowieku!...

Napróżno doktor usiłował wyrwać z twardych rąk mężczyzny swoje starcze, słabe dłonie, na które niespodziane spadły suche, zakrzepłe usta.

— Niech mi doktor wybaczy, bo... bo ona będzie żyła, jeżeli żadne nieprzewidziane...

— No tak, Tomasz, widzi pan...

Właśnie, że nic nie wiedział i nie widział, nic już nie czuł i nie rozumiał, tylko to, że ona nie odejdzie, jak w ciągu tych nocy ostatnich odchodziła, gdy jej oczy wielkie, wycięte w migdał, dawniej niebieskie, teraz bezbarwne, szkliste i nieprzytomne, zaciągała mgłą umierania, odchodzenia z życia.

Ustami gorącymi rozgrzewał jej kostniejące nogi, które się zdały takie maleńkie i tak obce ziemi, jakby po niej nigdy nie stąpały i stąpać nie miały. Machinalnie tarł kostki jej palców, obciążonych samą tylko skórą, tarł lekko, najlżej, w trwodze i bojaźni, by onych palców, nieprawdopodobnie kruchych i oziębłych, nie odjąć od jej ręki codzien cieńszej, drobniejszej i mniejszej.

— Reno! Reno! Słuchaj mnie, słuchaj! — szeptał

jej do ucha, jakby go mogła usłyszeć w swej trupiej sztywności, w którą ją śmierć otulała.

Rena nie poznawała go, nie poznawała nikogo. Chwilami jej rozszerzone, szklane źrenice trwały nieruchomo między fałdami bezsilnie opadających powiek, lub, błyszcząc jednostajnie między rzadkimi, długimi włoskami rzęs, błagały o pomoc ostatniemi iskrami życia.

Jej usta poruszały się, mnąc jakiś wyraz, czy mamrot niekształtny, w żadne nieobleczony słowa, który kształtowała wreszcie w jeden dźwięk zrozumiała:

— Pić...

Raczej nie wyraz, przyświst jakowyś, złączony z drzeniem ust skrzywdzonej dzieciny. Trzęsła się wówczas ręka Tomasza z podawaną szklanką, dzwoniącą na zębach chorej. Nie spostrzegał tego zupełnie, dziwiąc się tylko lekkości tego ciała, które tak bardzo niedawno przeżyło mu się łukiem napiętym w ramionach.

Teraz dopiero je kochał. Tamto gorące, pachnące żywiołem, wciąż niesyte, wciąż pragnące, pożądał, jak życia, jak wody w znoej spiekocie pustyni.

Pożądał, zdobywał, walczył z niem o krew, szukał i pragnął krwi, niczem zgłodniały drapieжник. Bałwochwalczo uwielbiał kształt i elastyczny miąższ kobiecego ciała, którym sycił wszystkie zmysły i uczucia; lecz tę zmiętą, niezmierną z wycieńczenia wylinkę zaledwie pysznego ciała kochał nadewszystko, kornie je tulił do siebie, jak mnich samotny, unoszący relikwije, świętość z nawiedzonego przez pogan grodu.

Im mniej jej było dla życia, im słabsza stawała się wątpliwość, gumowa nić nadziei, tem silniejsze stawało się kochanie Tomasza i groźniejszy strach przed końcem, przed owem silniejszym, które mu Renatę zabrać chciało.

Nie mógł jej ustąpić bez walki, bez boju, więc żarł się ze śmiercią nieustępliwie.

Oto czatowali na siebie od dwudziestu nocy „Ona“ i „On“. Nie mógł zaniechać czuwania, nie wolno mu było spać: tylko trwanie, bezwzględne trwanie na straży przy łożu z wszystką wolą skupioną i mocną mogło mu przynieść zwycięstwo.

Więc zawarł w sobie tamtą siłę Renaty, potrzebną do walki z chorobą, miał ją w sobie, póki w nim krew płynęła, póki czuł tętna mocnego twarde, męskie bicie. Teraz znów wplatał w pośpieszny stukot zegara na ścianie huk wielki własnego serca, które w tej ciszy, sfałdowanej jeno oddechem kobiety, obijało się głucho i mocno między sklepieniem żeber.

Uniósł ostrożnie osuwającą się z pod pledu rękę chorej, aby ją ukryć pod przykryciem, i wtedy poraz pierwszy jej palce zamknęły się, wiążąc mu słabiutko rękę. Więc przegięty, zakrzepły w bezwładzie, został już przy niej, słysząc, jak rytm jego pulsu splata się z rytmem jej oddechu i otula mu oczy miękkim ciężarem w niezwykłej potrzebie snu.

II.

Renata powoli, jak najwolniej podniosła powieki i wypełzła spojrzeniem za siebie, na lśniące kafle pieca z migotliwymi smugami strzelistych pyłków słonecznych, przecięniętych przez szpary kremowych zasłon na oknach.

Uderzył ją ich blask nikły nieznaną, ostrą radością, że jest, że go widzi, że poznaje. Więc świat dokoła trwał po staremu, tylko, że przedtem nie było takiego słońca, a za oknami szklili się białe, brodaty mróz, kreślący zaczarowane łamańce fantastycznych kwiatów na szybach.

Spróbowała silniej pociągnąć powietrze tam, w płuca... a nuż nie zakłuje do głębi, do trzewi, do dna istnienia.

...Tak. Jeszcze trochę, jeszcze raz, głębiej, głębiej, najgłębiej, a ból? — niema go, niema. Przez krtań płynie wąska struga powietrza, sączy się, bulgoce, obija i pompuje wnętrze — „Jak balon“ — myśli Renata — Jak balon — więc jest lekka, więc już zdjęli ten kamień gniojący z piersi, zabrali i niema, nic niema.

Słodka jest siła oddechu, słodka moc życia i słodka senność, lepiąca powieki... Rozstępują się ściany pokoju, obsuwa podłoga, lecz niema grozy w tem opadaniu, jeno słodka rozkosz ponownego, przytomnego zasypiania.

Gdy otworzyła oczy poraz drugi, biało i równo ułożyło się światło na kafłowej gładzi pieca, ale upłynęły długie sekundy, zanim zdała sobie sprawę, dlaczego leży w tem szerokim łożu w taki wielki, jasny dzień, najjaśniejszy.

— Zasnęłam — błysnęło — zasnęłam...

Uniosła rękę, by zetrzeć z czoła kilka kropelek zimnego potu i teraz dopiero, patrząc na to ramię, nowe, obce i takie nieswoje, zrozumiała wszystko.

— Byłam chora — westchnęła — chora...

Ktoś podniósł się u jej wezglowia i przysunął na palcach do łóżka — Tomasz.

— Bardzo chora, Renato — powtórzył — bardzo, ale teraz...

Coś mu utkwilo w gardle, niby fala krwi, bijąca od serca, więc nie skończył, tylko runął na mocne kolana przy łóżku, wołając:

— Renato, Renato! dziecino moja! teraz już nikt ciebie nie zabierze!

Odwróciła ciężko głowę od pieca, aby spojrzeć w twarz ukochaną, lecz właśnie osłonił ją swemi wielkimi rękami. Pociągnęła palcami, by dotrzeć do jego dłoni, lecz sił jej nie stało, zaledwie mogła wyszeptać:

— Nie odeszłam, Tomasz, nie odeszłam, wróciłam.

Odjął palce od swej szarej twarzy i, kładąc usta na jej dłoni, wyrzekł cicho, wnikliwie:

— Witaj, powracająca, witaj, narodzona dziecino moja! Otom cię wyzebrał przed Panem!

(dok. nast.)

Max. Wit.



Jan Matejko: „Konstytucja Trzeciego Maja“.

H. JANUSZEWSKA.

DEMOKRACJA

(1791)

*Krew płynie w słowach dzikich, szalonych i zażartych! —
Przez umarłego Cyda depta tłum i padł Polyeucte!
Frunie miastem, jak ptaków stado, wir rozsypanych kartek —
„Ami du Peuple“.*

*Któż będzie płakał bohaterów Corneille'a? — Miasto wrze!
Przy biurku lis malicyjny tom pisze: „Śmierć Cezara“ —
Ach — padł na próg Łazienek list François Arouet —
Król jest wolterjaninem! Szpadą przebije carat!*

*Król się przez okno schyli w majową cichą noc —
śpią starzy pod polskiego księżycy srebrną tarczą...
od miasta poszum idzie i przy kamiennych schodach,
jak groźne psy strzeżone, lwy nieruchome warczą.*

*Spokój, jak klinga noża, przebije myśl gorąca —
buchnie, jak dziki płomień, i żarem przeżre lica —
myśl wichrem w park uderzy! Z bosketów kwiat postrąca —
„Ulica“!*

*Ami du Peuple — panie Voltaire — przyjaciel ludu!
Tak dyszy miasto w takt słów wolności i tak serca targa!
Taka jest miłość królewska, tak dławia wielkie lzy —
Któż mówił, że nie jest to więcej nic — ponad paragraf?*

*Dzwony bijące o ciepłe wiosenne powietrze czyste —
Otworzyło się życie na tej karcie — swobód — jako tajemna księga —
Mówiłem: „Jezu Chryste! Jezu Chryste —
przysięgam“.*

W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

Trzeci Maj

Trzeci Maj roku 1857 wypadł w dzień niedzielny. Pani Zofja poszła na sumę do kościoła Wniebowzięcia, na ulicę Świętego Honorjusza. Wcześniej jeszcze było, pusto w świątyni; wybrała miejsce po prawej stronie, na brzegu ławki. Modliła się. Powietrze dnia tego było wichrowate, więc promienie słońca to wpadały przez kopułę, nagle złocąc włosy p. Zofji, wymykające się drobnymi puklami z pod czarnej kapotki, to znów ciemność pokrywała nisko pochyloną głowę.

Na głównym ołtarzu, wokół obrazu, jak zawsze w polskie dnie, białe i czerwone stały kwiaty; kolory te narodowe dziś męczeństwo i niewinność cierpienia znaczyły.

Powoli świątynia zaczęła się zapełniać, starszyzna zasiadła bliżej ołtarza, wyszedł ksiądz ze mszą.

Nie bacząc na francuskie rozkazy, wystukiwane wielką pałą, w złoto i aksamit przybranego mistrza ceremonji, każdy, czy to wielki, czy mały, klęczał od Podniesienia, aż póki „Ite Missa est“ kapłan nie ogłosił.

Zaległa cisza oczekiwania. Na ambonę wszedł ksiądz Jełowicki, jeden ze złotoustych emigracji.

Mówił o świetności 3-go Maja, o tem, że dziś w upadku będący kochać należy gniazdowy nasz kraj. Iż ten, kto go nie kocha...

— O Matko Boga jedyne, jestże taki?!...

...że nienajgorsze dzieci Boże, więc nas Ojciec z niewoli wybawi, choć — długo ze spełnieniem obietnicy zwleka...

— O straszny Boże!...

Zakończył:

— Daj nam, Boże, mieszkanie w wiecznych Twoich przybytkach.

Duch wyższej strefy napelnił serca, jak miodem ból gładzając. Po kazaniu rozpoczęły się śpiewy. Nie śpiewano już, jak w 1855 roku, roku wojny Krymskiej, Te Deum za panującego Cesarza Francuzów i za powodzenie wojsk polskich. Pozostało jedynie umodlenie miłosierdzia Boskiego dla nas:

— Przed Twe ołtarze zanosim błaganie...

Nigdzie, na całym wielkim świecie, tylko we Francji wolno było bezkarnie nadal przed ołtarze Boga zanosić błaganie o zwrot Ojczyzny i Wolności...

Po nabożeństwie, w okolicznych kościołach, kawiarniach, za stolikami dziwni zasiedli ludzie i dziwne działy się rzeczy. Ludzie jacyś inni, nie paryscy — zimowi. Choć wiosna już zaczęta. Złękli się wilgoci kościoła — Do Świętego Ducha trzymaj się kozucha, od Świętego Ducha trzymaj się kozucha — czy też najpiękniejsze swe włożyli przyodziewki? Ten miał kozuch, siwym barankiem obramowany, ów nosił li-siurkę. Wielu w długich, palonych butach z cholewami, wpuszczonych w spodnie, czapy ogromne — trochę na półpoście przebrani ludziska? Mówili też dziw-

ną mową. Jedni śpiewnie, drudzy zadzierzyście, rąbali słowem, jak szablą.

— Ce sont des Polonais, c'est aujourd'hui leur fête nationale — objaśnił kogoś gospodarz.

Zaszli na sztof piwa, lułki wypalić, a potem zagrać w ćwieka, czy rumbla — smutek rozproszyć.

Ale zaczęli od wspominków:

— Nie tak to dawniej bywało...

— Jeszcze rok temu, dwa...

— W kościele widywało się innych ludzi. Co pierwsi na emigracji. Adam Mickiewicz...

— Świeć Panie nad jego duszą...

— A widzieliście Księżtwo? taratajką swoją familja wyjechała. Demokratów udają... A dynastja dla nich to grunt... Królem się być mienił... Politykę swą, niby familji — nie Polski, uprawiają...

— Na Emigracji jest Hotel Lambert i przedpo-koje. Lamberciści, Panie Bdzieju...

— Nic nie robią... Arystokratyczna u nich panuje beczynność i arystokratyczne zachowują w ważnych sprawach milczenie. Między zaś sobą gadają... zawiele formulek, ujętych w ustawy towarzystwa wzajemnej adoracji...

— Na własne oczy widziałem kiedyś jedną listę składek... Na liście tej więcej zapisał pan Adam, aniżeli sama księżna Pani...

— Bo Adam to był człowiek do rany...

— Wiadomo, Adam, Xiążę poetów, ale...

— Nie sarkalibyście, bracia, i na tego drugiego Adama. Bez winy on nie jest, bo kto z nas bez winy? a że na Króla Polskiego koronować się chciał i medale wybić kazał, darujcież dobremu i wielkiemu człowiekowi jego słabostki... Politykę on swoją uprawia, ale Polski przedewszystkiem. Tylko, że nie czeka... niemożebności. Wierzy, iż wyzwolenie wcześniej nastąpi, aniżeli piaski Mazowsza gaje palmowe wydadzą. W Hotelu Lambert miniaturowa ci jest ambasada polska, ale jest. Instytut oni dla Panien polskich założyli i księżna Iza sama nańłoży. Gdy kogo bieda przyciśnie, to na wyspę świętego Ludwika, jak w dym... Ej, nie sarkalibyście, bracia, a ty, panie Janie, nadewszystko sarkać nie powinienes. Na Wielkanoc miodu puławskiego za kołnierz nie wylewasz, gdy pan Chopin do fortepiano zasiadał, rad słuchałeś, a i na pańskich pawimentach tańcować mazura lubiłeś...

Zażył mówca niuch tabaki jeden i drugi. Kichnął raz i drugi.

— Zdrowie pana dobrodzieja! — zakrzyknięto chórem.

— Vive la Pologne! — zawołał chłopak kawiarniany, podając nowy kufel piwa.

Otarł nos wielką, czerwoną w kraty chustką i rzekł smutnie:

— Narzekać a krytykować, to każdy potrafi. Takie to dziś nasze w tym Paryżyku bytowanie! A widzieliście tych półgłówków, postrojonych, jak na bal do Opery? Błazen jeden z drugim... Cygara smolą... Nowomodne wymysły.

Ktoś świeżo nabił tiutoniem fajkę na długim wiśniowym cybuchu, skrzesał ognia na hubkę, zapalił, zaciągnął się dymem i zanucił:

„Dawniej wiedziano, komu się uklonić,
„Pan szedł w kontuszu, a hajduk w kubraku;
„Dzisiaj omyłki trudno się ochronić,
„Bo pan i sługa obydwaj we fraku“.

Starszyzna zaczęła się poruszać:

— Dość leniuchować! Jazda do domu.

A młodzi:

— A tak tak, jazda do domu!... Chrapacego chcą sobie uciąć...

Felix Wrotnowski, dobry znajomy pani Zofji, powstaniec z 31 r., uczony, epikurejczyk, towiańczyk, facecjonista i kobieciarz, po mszy proponował pójść razem na obiad do Byrona w Palais Royal, a choćby zajść do pasztetnika Vaillant, a potem pochodzić trochę po mieście. Ubrany dziś był elegancko, w świetle spodnie i nowy kapelusz, chciał się więc w dzień wiosenny pokazać paryżankom.

Pani Zofja wymówiła się zajęciami w domu, oczekiwała więcej, niż zwykle, gości, musi więc wszystko przygotować. Kazała nawet nastroić fortepiano, może ktoś zagra lub zaśpiewa... Miała też jeszcze pisać, aby móc jutro wysłać kronikę...

— Ale nie o obchodzie Trzeciego Maja...

— Wiesz, panoczku, że o tem mówić tam niewolno...

Aura Wyleżyńska.

3 MAJA ROKU 1917

Bolszewicki terror zmasał, jak gąbka, po tablicy przecignięta, nasze piękne wspomnienia z owych dni, gdy rewolucja w Rosji wybuchła i położenie polaków pod okupacją rosyjską zmieniło się od wieczora do ranka. A jednak piękne to były czasy!

Nasze kresowe miasteczko galicyjskie zostało zajęte w pierwszych dniach Wielkiej Wojny przez wojska rosyjskie i od tej pory hermetycznie zamknięte, nieświadome tego, co się na świecie szerokim dzieje i — co najboleśniejsze — bez najmniejszej możności kontaktu ze swoimi.

Przez dwa lata prawie nie wiedzieliśmy ani o Legjonach, ani o naszych chłopcach, którzy wyszli w ostatnim momencie — pod strzałami karabinów maszynowych.

Dopiero po którejś ofensywie austriackiej, a następnie cofnięciu, zostały, jak muszle po odpływie morza, jak skarby nieocenione, jakieś broszurki, obrazki, listy. Okrężną, tajną drogą zaczęły dochodzić kartki, pisane stylem zawiłym, pełnym alegoryj, zagadek.

Nad wszystkim ciążył ponurą strach przed „Ochraną“, nietyle groźną, co dokuczliwą.

Możliwość zesłania w głąb Rosji stała przed wszystkimi, którzy niezupełnie „czyste“ mieli sumienie.

Było nam bardzo smutno.

Nie wiedzieliśmy, że pod Austrią było jeszcze gorzej. Zdawało się nam, że „z tamtej strony“ tworzy się radośnie Polska i gdy nam drzwi otworzą, my pójdziemy do niej, a ona — przyjdzie do nas. Ale kiedy to się stanie? W tym zapomnianym od Boga i ludzi kacie zaczęliśmy tracić nadzieję i wpadali w apatię.

Aż tu — grom z szarego przedwiosennego nieba! Rewolucja! Braterstwo! Swoboda!

Poszaleli ludzie z radości.

1-go Maja, na cmentarzu za miastem, ogromny wiec-meeting. Las czerwonych sztandarów. Tanki, uwieńczone zielenią, służyły za trybuny mnogoję-

zycznym gromadom wojsk wielkiej Rosji. Byli tam Gruzini i Czerkiesi, Sartowie...

Na jednym wzgórkówku zalopotał sztandar zgoła odmienny. Nasz amarantowy sztandar i nasz orzeł biały, namalowany pośpiesznie ręką jakiegoś malarz-samouka. Któż potrafi dziś odczuć, jakie to zrobiło wrażenie!

Koło tej chorągwi skupili się wszyscy polacy z pułków rosyjskich zwartą gromadą. Przyłączyli się do nich kolejjarze, „przeflancowani“ do nas z Królestwa i miejscowi, co gorętsi. Pobratali się, po raz pierwszy, otwarcie.

Potem przez miasto przeszedł pochód polski, kolejjarze na czele, z „Warszawianką“ z r. 1905 na ustach, aż do ruin starego Zamku.

Powiedzieliśmy sobie: urządzimy 3-ci Maj!

I urządziliśmy.

Była nas garstka ludzi z tego i tamtego zaboru, cośmy już pocichu, konspiracyjnie, dobrze się poznali. Wiedzieliśmy, co kto wart.

Dziś jakby rozpełtały się skrzydła.

Co to był za dzień, ile słońca i radości!

Wzięliśmy sobie, prawem pięści, bezpański, zniszczony gmach Sokoła, przez lat kilka na jakieś koszarowy obrócony. Wymieciona, umajona sala, mimo zdartej podłogi, wyglądała imponująco. Stolarze zrobili przez noc estradę. Program, w ciągu jednego dnia złożony: przemówienia, deklamacje, śpiewy.

Muzyka? Będzie i muzyka...

Była kapela wojskowa w sąsiedniej Jagielnicy. Co będą grali?

Rzecz prosta, „Marsyljanek“, a potem, co im się podoba. Przecież „Boże caria chroni“ już nie zagrają.

Przyszedł ranek promienny, ciepły. Kościół Dominikański przepelniony. Jakież wrażenie, gdy po przez szpaler szarych szyneli weszło dwóch rostrych chłopaków również w mundurach rosyjskich, niosąc ogromne sztandary z godłami narodowymi i Matką Boską Częstochowską!

Dwie panienki nasze malowały i haftowały przez

noc i dzień poprzedni, aby tę niespodziankę nam zgotować.

Z chóru zabrzmiała pieśń: „Boże, coś Polskę“... potężnie zawtórował tłum. Potem zwykłym, tradycyjnym zwyczajem śpiewało się u nas „Z dymem pożarów“. Tymczasem zbuntowaliśmy się, my właśnie, cośmy Ujejskiego znali i kochali i pamiętaliśmy Jego słowa:

„Niech zginie żałobna, posępna pieśń! a Ty, miła Ojczyźno, rozkwitnij w radości i chwale“.

Nie chcemy już śpiewać o Kainowym mordzie. Już nigdy, nigdy więcej brat na brata nie podniesie ręki!

A żeby Ujejskiemu krzywdy nie było (nasz to był poeta, w tym kościele modlił się nieraz), wybraliśmy inną jego pieśń:

Grzeszni, senni, zapomnieni —

Ojczy nasz...

Budzimy się już z otchłani —

Ojczy nasz...

Daj nam jutrznię jasnowłosa,

Z plam i grzechów obmyj rosa,

Prowadź w pole, choćby boso,

Ojczy nasz...

Płynęły dźwięki pieśni, mówiącej o zmartwychwstaniu.

Ludzie w szarych szynelach płakali, jak dzieci.

Wielu było takich, którzy nigdy narodowej pieśni nie słyszeli. Byli tacy, co już płacili za nią turmą i Sybirem.

A wieczór, sala gorejąca światłem, pachnąca od kwiatów i czerwonością.

Wszyscy polacy: miejscowi i przybysze, inteligencja i plebs, oficerowie i żołnierze, endecy i esdecy, są i „goście“ rosyjscy. Muzyka zaczyna stroić instrumenty.

Bucha melodja: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Co za wrazenie! Co za owacje dla kapelmistrza! Okazało się, że był nim — polak. Następuje „Marsyljanka“. Ale za nią — któż opisze nasze radosne zdziwienie? — wieniec pieśni polskich. Wszystkie, wszystkie. Tyle lat niesłyszane, „tam“ srogo zabronione niegdyś! Grają nawet: „Nie dbam, jaka spadnie kara“...

Taką niespodziankę sprawił nam kapelmistrz, wyuczywszy błyskawicznie swą orkiestrę naszych pieśni.

Jakie były potem mowy (najbardziej wzruszyła wszystkich ta, którą mówcy, polakowi z pod Mińska, przerwało wzruszenie, tak, że słowa uwieźły mu w gardle) — któż to dziś powtórzy! Rzeczy banalne przed wojną i po wojnie, dziecinne i naiwne, jak wiersze, mówione przez biało ubrane dzieci, nabierały w tych dniach jakiejś świętości i uroku, jak promień słońca po czarnej, beznadziejnej nocy.

Tego dnia była u nas — Polska. K. Bielańska.

W MAJOWĄ NOC

Jest popołudnie wiosenne 2-go maja. Ulice śląskie, te długie, niekończące się drogi wśród ciągle jednakowych kamienic z czerwonej cegły, czarne od pyłu węglowego — oblekły się tu i owdzie leciuchną mgiełką pierwszej młodej zieleni. Słońce — gość rzadki wśród wiecznie zachmurzonego i zadeszczonego krajobrazu — upiększa w sposób niewiarogodny smutne domy, samotne, czarne hałdy, sadzawki zatęchłej, stojącej wody; ożywia barwy białoczerwonych chorągiewek, zdobiących wieżę każdego sztybu, każdy komin fabryczny, wszystkie gmachy szkolne i miejskie. Domy również poweselały od słońca i dekoracyj w oknach, na balkonach, nad bramami... I twarze ludzkie są dziś pogodniejsze, niż zwykle.

Gdy o godzinie 6-ej żalosne głosy syren fabrycznych oznajmiły koniec dnia roboczego — coraz tłumniej robi się na ulicach. Od Siemianowic, Dąbrówki, Bogucic, Nowego Bytomia, od granicy, gdzie w budkach celniczych zaopatrzyć się już można w białoczerwone kokardki i chorągiewki, ciągną gromadki ludu, odświeżenie przybranego. Długie, granatowe kaptory i czarne kapelusze Rozbarczan,*) fałdziste spodnice, jedwabne barwne fartuchy i piękne staroświeckie czepce Rozbarczanek, uroczyście czarne stroje górnicze z pióropuszcami na czakach, wstęgi, hafty, chusty tureckie i guzy, a obok nich szara tandeta robotniczej niedzielnej odzieży — wszystko miesza się, formuje w szereg pochodów, które, łącząc się lub rozdzielając, z furkotem sztandarów płyną w stronę Ka-



Typy powstańców z trzeciego powstania górnośląskiego.

*) Rozbark — przedmieście Bytomia na G. Śląsku niemieckim — zamieszkałe prawie wyłącznie przez ludność polską.



Typy powstańców z trzeciego powstania górnośląskiego.

towie. Jak sznurek barwnych paciorków, wysnuwa się w którymś miejscu korowód dzieci z lampjonami...

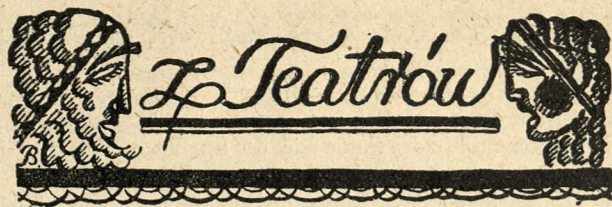
Światło dnia mierzchnie. Słońce chowa się w tumanie chmur, obrzeżających widnokrąg. Sznury światel elektrycznych występują coraz wyraźniej na gęstniejącym tle przestrzeni i wkrótce jest się niby pod kopułą, nabita gorzącymi wyżej i niżej gwiazdami.

Zaczynają teraz rozbłyskać i na ziemi inne ognie, czerwone, bardziej rozwichrzone od tamtych: to ogniska. Na zboczach lub wierzchołkach hałd, na rozstajach dróg pod Krzyżami, na skraju lasu roznieca je ludność dla tem większego uczczenia Święta.

Bo noc z 2-go na 3-ci maja — to ważna i uroczysta rocznica wybuchu trzeciego powstania śląskiego. A jednocześnie — dzień następny — to rocznica Wiekopomnego Dzieła Konstytucji 3-go maja. Dwa Święta: jedno własne, niejako domowe, najbliższe sercu ludu, drugie — ogólne, narodowe i państwowe. Dwa święta całej Zjednoczonej Macierzy.

Punktem centralnym uroczystości są Katowice. Tam odbędą się defilady, składanie wieńców, akademje, a nazajutrz od rana modły w świątyniach, wielka msza polowa i pochód narodowy. Ale tej nocy lud śląski, który przed laty składał ochotnie ofiarę krwi za prawo powrotu do Ojczyzny, wyjdzie z bram miasta na pola i tam, przy ogniskach, czuwać będzie do świtu, rozpamiętując dzieje niedawnych bohaterkich walk o wolność i śpiewając pieśni powstańcze. Uczynił tak w pierwszą rocznicę swego święta, powtarza to samo co roku i dziś — w 10-cio lecie swego rycerskiego porywu — tembardziej nie zaniedba zwyczaju. Ten sposób uczczenia rocznicy podyktowało mu serce — dlatego ustali się on i przetrwa i nabierze znaczenia obrządku w dalekie, przyszłe mające pokolenia.

M. Znańciewicz-Szczepańska.



TEATR LETNI.

„Dobra wróżka“ — komedia w 3 aktach Fr. Molnara, przekład B. Gorkyńskiego, reżyserja Chaberskiego.

„Dobra wróżka“ — to pierwszy na scenie typ dziewczyny z ludu, której psychika, moralność, ustosunkowanie się do siebie i do otoczenia wyrosły w atmosferze kina. Takich marzycielek, jak Lu, jest napewno milion, tylko, że jednej na sto tysięcy uda się tak sprytnie i szczęśliwie zrealizować swe rojenia.

Świadoma filmalizacja (już nie teatralizacja) życia daje temperamentowi Lu i jej dziecinnemu popędowi do kłamstwa możliwość wyzycia się w sztucznie przez nią stworzonych warunkach. Że Lu z tego piwa, które nawarzyła, spija samą piankę, innym łaskawie pozostawiając gorycz i męty, że nie tonie w tej djabelskiej kadzi, jaką zamąciła, ale szczęśliwie zawija do przystani małżeńskiej — to już nie jej zasługa, ale świetnego teatralnego spryciarza, niejakiego Molnara.

Stek bredni, jakie nagromadził w „Dobrej wróżce“, wynagradza impulsywnym, brawurowym humorem, który nie pozwala widzowi na moment opamiętania się. Kiedy wreszcie zdaje się nam, że wszystko skończone, autor wykonywa przed nami jeszcze jedno popisowe salto-mortale, aby olśnić publiczność na końcu, jak zawodowy linoskoczek.

Ta niespodzianka — to epilog. Lu obchodzi dziesięciolecie swego ślubu. Z kim? Z kimś, który wcale nie wchodził w rachubę, przez cały ciąg akcji. To już nie teatr — to łamigłówka. Najnowsza zabawka dla rozpieszczonych dorosłych dzieci. Niech im to idzie na zdrowie!

Sztuka była grana świetnie i utrzymana we właściwym tempie. Smosarska, jako amoralna Lu, miała dużo wdzięku i tupetu; Orwid nieco szarżował w roli brodatego dr. Sporuma; Lenczewski i Hnydziński, w rolach dwu przypadkowych rywali, nie wyszli poza przeciętny szablon farsowy. S. P. O.

TEATR MAŁY.

„Droga do piekła“ — komedjo-farsa w 3 aktach Zygmunta Kaweckiego. Reżyserja p. Z. Ziemińskiego. Dekoracje K. Frycza.

Z „Drogi do piekła“ nie zostaje w pamięci ani jeden dowcip. A jednak ludzie śmieją się cały czas, niekiedy ryczą ze śmiechu. Istnieje bowiem na świecie mnóstwo rzeczy zabawnych i śmiesznych, które zgoła nie są dowcipne.

Do tej kategorii zjawisk należy komizm „Drogi do piekła“. Bezceremonjalna przypadkowość akcji, szablon figur, wyścig nonsensów, furja beztroskiego chichotu, przypominającego rzenie żrebaków na pastwisku, całkowite pomiatanie fakturą, — składa się na widowisko o charakterze raczej sketchu rewjowego, czy błazeńskiej improwizacji, niż komedjo-farsy.

Powodzenie tego rodzaju sztuki uzależnione jest wyłącznie od reżyserji i gry aktorskiej. Debiut reżyserski Ziemińskiego udał się całkowicie. Tempo furioso utrzymywało widza w pożądanym oglupieniu. Jego „mentalność“ ulegała posłusznemu fascynacji nonsensu, głównie dzięki znakomitej grze Maszyńskiego, który świadomie, czy nieświadomie (mniej o to) w naczelnej sylwetce literata de Vila dał przesarżowany wizerunek autora. Dynamiczny komizm Maszyńskiego sam już wystarcza na to, aby zaludnić scenę tłumem karykatur, cóż dopiero, gdy przyjdą mu z pomocą Fritsche, Romanówna (coraz bar-

dziej rozszerzająca skalę swych możliwości charakterystycznych), Malkowski, Sulima.

Aktorzy lubią sztuki, w których mogą się wygrać bez tłumika i bez reszty. Jest to poprostu kłapa bezpieczeństwa dla ich temperamentu: zgrywanie się do upadłego. Elektryzuje to salę widzów i daje szereg niespodzianych krótkich spieć, jak np. te dziesięćminutowe brawa, jakie przy otwartej kurtynie zbierał Maszyński za parodję barkaroli: „Zejdź do gondoli“.

S. P. O.

wnętrznie zarysowane, są dwa typy kobiece: harcerki Niny i oschłej dewotki i hipokrytki pani Umińskiej. Powieść uderza dysproporcją zamierzeń i środków.

S. P. O.

Władysław Rymkiewicz: „Prawo do miłości“ — powieść. Warszawa. Wydawnictwo J. Morkowicza.

Młody autor, który przed dwoma laty szczęśliwie zadebiutował obiecującym zbiorkiem nowel (Pan swego życia), porwał się na powieść „bojową“, w podwójnym tego słowa znaczeniu i pisowni. Raz, że jest to niejako beletrystyczna argumentacja rewizji, jakiej poddaje Boy instytucję małżeństwa w swoich feljetonach, — powtóre, że autor z młodzieńczą zapaleczywością walczy w niej o „Prawo do miłości“ poza małżeństwem ludzi, tym właśnie węzłem małżeńskim związanych. Inaczej mówiąc, jest to typowa powieść z tezą, przedstawiająca w szeregu przykładów straszliwe skutki nierozzerwalności małżeństwa.

Otóż ten chwyt reformatorsko-społeczny autorowi się nie udało. Życie mknie szybciej, niż literaturę, i wyprzedziło gorliwego apostoła rozwodów o kilka długości. Jest to, niestety, a może na szczęście, los niemal wszystkich powieści tendencyjnych, że ciosy ich padają w próżnię. Nic bowiem nie działa równie przekonywująco, jak obiektywne, epickie opowiedzenie faktów, i nawet najnaiwniejszy czytelnik nie da się dziś złapać na lep sztucznego ich zestawiania.

Autor wybrał sobie temat niesłychanie trudny, wymagający wielkiego opanowania, taktu w podejściu do psychologii bohaterów, dyskrecji w przedstawieniu wypadków, a przede wszystkim sumiennych studjów „w terenie“. Otóż te studia pozostawiają wiele do życzenia. Zamiast skrupulatnie pogrzebać się w aktach, porozmawiać z obrońcami i sędziami konsystorskimi, jednym słowem zbadać sprawę u jej podstaw prawnych i formalnych — autor czerpał swój materiał faktyczny z bezkrytycznie potraktowanego źródła patosu życiowego, z lirycznej i zgóry przesądzonej sprawie postawy wobec zagadnienia.

Idąc konsekwentnie po tej linii, musiał trafić na ślepią uliczkę. Bohaterom jego nie pozostało nic innego, jak przebijać mur głową. Nie było rady, trzeba ich było uśmiercić.

Całość powieści przedstawia dziwną mieszaninę naiwności życiowej z niezaprzeczanym talentem pisarskim. Autor ma wybitny dar obserwacyjny. Środowisko, które zna dobrze, np. biuro sądowe, odmalowane jest bez zarzutu. DIALOGI są żywe i naturalne. Poszczególne momenty psychologiczne uchwycone i oddane trafnie, tylko brak między nimi więzby logicznej, która by motywowała należycie rozwój wypadków. Jest sporo rzeczy zbędnych, np. cały „Dziennik Antoniny“. Jest młodzieńcza chęć powiedzenia wszystkiego, co się myśli o danym temacie, choćby się o nim wiedziało stanowczo za mało, choćby ta ekspansja pociągała za sobą klęskę utworu.

„Prawa do miłości“ nie można traktować, jako pracy dojrzałej. Jest to próba, etiuda, stanowiąca ważny etap w rozwoju utalentowanego autora. Na jej błędach może się on wiele rzeczy nauczyć.

S. P. O.



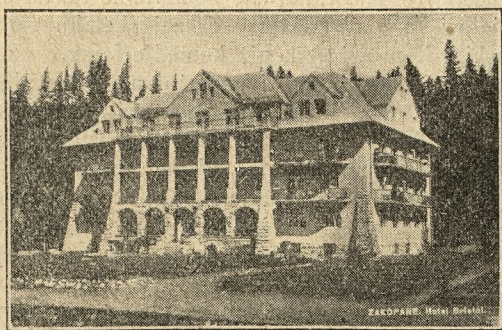
Ludwik Hieronim Morstin: „Rozgrzeszenie“ — powieść. Warszawa 1951. Nakładem księgarni F. Hoessicka.

Po wzniosłym poemacie o Koperniku p. t. „Kłos panny“, — psychologiczna powieść współczesna z tezą. Czy skok nie za duży? Czy nie za daleka droga od gwiazd do ziemi? I choć rolę spadochronu mają odgrywać metafizyczne rozważania nad istotą bytu i celem człowieka, wstrząs jest zbyt widoczny. Stanowczo autor swobodniej porusza się wśród ciał niebieskich, niż wśród dusz ludzkich.

Sądziliśmy, że typ kobiety „niezrozumianej“ należy już do przeszłości. Tymczasem Morstin wskrzesza ją z całym pietyzmem, należnym żywemu zagadnieniu, które rozwiązuje po długich tarapatkach (aż do usiłowania samobójstwa włącznie) starym, wypróbowanym sposobem naszych prababek. Kobieta niezrozumiana przestaje myśleć o sobie z chwilą, gdy się poczuła matka. Jest to faktem ogólnie znanym, że kobiecie fizycznie zdrowej, a intelektualnie nieproduktywnej, jedyną drogę całkowitego wyżycia się otwiera dziecko. Autor chciał nam to psychologicznie i filozoficznie uzasadnić, posługując się jednak przy tym zbyt prymitywnymi środkami, aby żywiej zareagować na nie mogła wrażliwość współczesnego czytelnika.

Niedobrze jest, gdy ptaki wysokich sfer powietrznych zniżają swój lot. Jakże małym, nieciekawym, ciasnym i jednostronnym mózgowcem wydaje się nam astronom Ryszard, pomniejszony Kopernik dzisiejszy, przy tamtym wielkim zdobywcy firmamentu! Poeta Turski, satelita „kobiety niezrozumianej“, ma wszystkie kwalifikacje na kretyna i życiowego niedołęgę. I jeden i drugi, wbrew intencjom autora, a raczej na ich uboczu, są oczywistym dowodem, jak skarłała rasa męczczyzna pod wpływem jednostronnego intelektualizmu.

Najbardziej naturalne, choć szkicowo tylko i czysto ze-



ZAKOPANE

Perła uzdrowisk polskich — daje emocjonujące widoki

Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

BRISTOL

Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel - pensjonat w

700

Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę.

W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30 — 50%. Tel. 315.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ZJAZD POLSKIEGO ZJEDNOCZENIA KOBIET SŁOWIAŃSKICH.

Pod przewodnictwem posłanki Marji Jaworskiej odbył się w Krakowie zjazd zjednoczenia Kobiet Słowiańskich w Polsce. Zjednoczenie to stanowić będzie oddział polski Wszechsłowiańskiego Zjednoczenia Kobięcego. Zjazd krakowski był przygotowaniem wielkiego Kongresu Zjednoczenia, mającego odbyć się w maju r. b. w Warszawie.

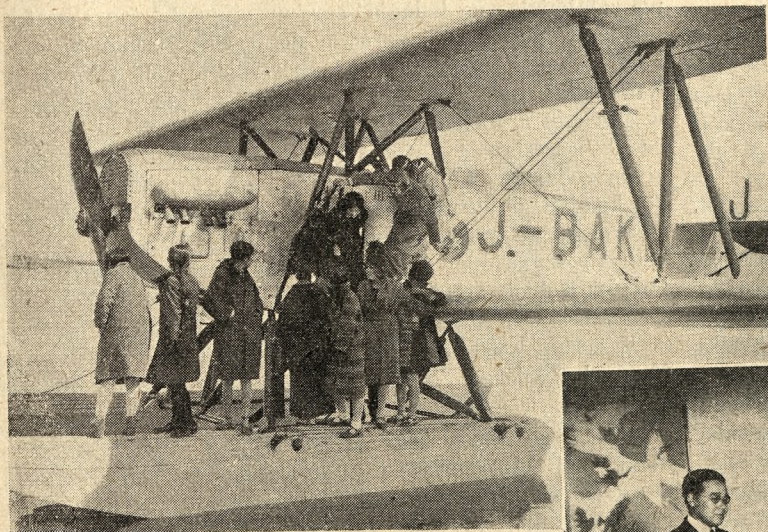
Przybyłe delegatki ze wszystkich stron Rzeczypospolitej przedyskutowały i przyjęły program statutu organizacji polskiej, który zostanie przedstawiony do zatwierdzenia Kongresowi, ustaliły program Kongresu i przyjęcia gości zjazdowych w Warszawie, oraz wybrały zarząd główny. Przewodniczącą została senatorka, p. Hanna Hubicka, członkiniami zarządu p. Balicka, Braunowa, Cybulska, Grudzińska, Jaworska, Kuszelewska-Rayska, Ładzina, Pełczyńska, Siedlecka, Starzewska, Szebeko, Wolska i Zaleska.

Wybitnym i pocieszającym objawem jest prawdziwe, w myśl tytułu „zjednoczenie” w tej kobiecej, międzysłowiańskiej organizacji. Zjednoczenie, zaznaczające się zarówno podczas obrad, jak i w składzie wybranego zarządu.

W pracy zrzeszenia, jak widać ze składu tegoż zarządu, biorą zgodny udział posłanki i wybitne działaczki ze wszystkich obozów, bez różnicy odcieni partyjnych.

POLKA NA PAMIRZE.

P. Jadwiga Toeplitz-Mrozowska przybywa na zaproszenie Polskiego Tow. Krajoznawczego do Warszawy i dnia 5 maja wygłosi w stolicy naszej odczyt o podróży swej na Pamirze.



PIERWSZE PILOTKI PASAŻERSKIE W JAPONII.

Lotnictwo kobiece japońskie należy do najmłodszych na świecie; pomimo tak krótkiego czasu jednak, małe te kobietki rozwinęły już niezwykłą energję i umiętność, rzucając się do nowego działu pracy w imponującej liczbie. Gdy przed kilku miesiącami jedna z krajowych linii lotniczych ogłosiła konkurs na posady 8-miu pilotek pasażerskich (oby nasze linje, prędko poszły za tym przykładem, a głównie, aby dały kobietom możność szkolenia się w pilotażu), zgłosiło się *tylko* 150 kandydatek!



W wielkiej sali siedziby Towarzystwa odbył się ten imponujący konkurs, podczas którego przyszłe pilotki poddały całemu szeregowi egzaminów i badań psychotechnicznych, jak to wykazuje załączona rycina. Na drugiej, powyżej, widzimy pierwszy wzlot wybranych ośmiu dziewcząt (wszystkie są w wieku poniżej lat 20-u) na hydroplanie pasażerskim, kursującym nad zatoką Tokio. Jest to ostatnia próba „zachowania się w powietrzu”. Po niej nastąpił przydział młodych pilotek na nową linię pasażerską pomiędzy miastami Tokio, Szimoda, Szimiru.

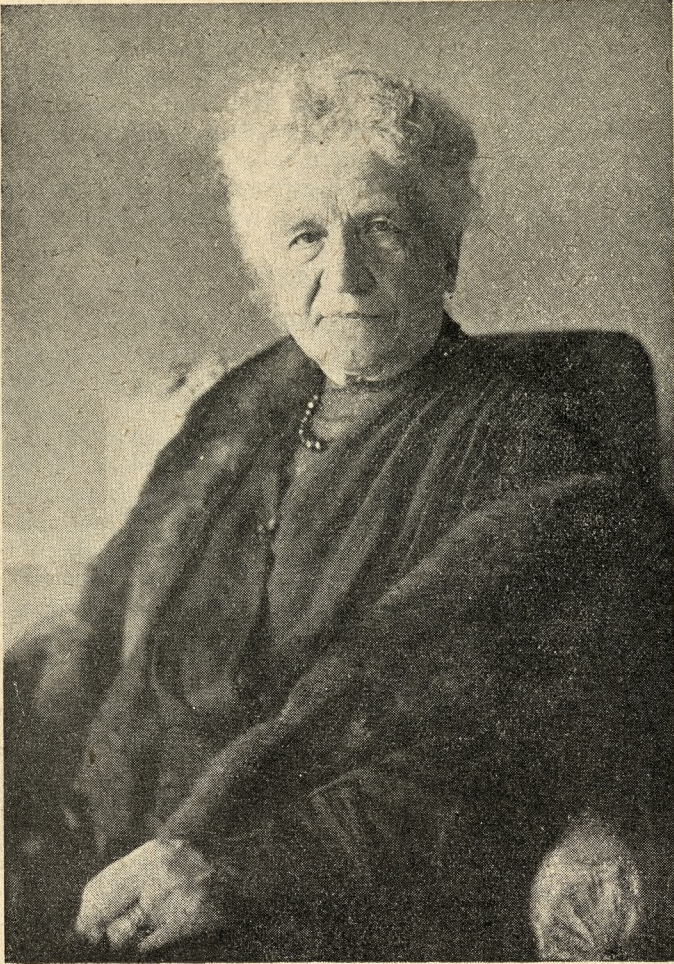
A U NAS?

Na ostatnim zjeździe angielskich nauczycieli szkół powszechnych podniosły się żywe protesty mężczyźni przeciwko mianowaniu kobiet nauczycielkami w klasach dla chłopców. Panowie-nauczyciele przypisują te nominacje przemożnemu wpływowi ruchu kobiecego i „prądów feministycznych”. Nic nie rozumiemy, odpowiadają koła feministyczne, co tu ma do roboty ruch kobiecy? Jest on bowiem właśnie tego przekonania, że chłopcy, za wyjątkiem najmłodszych, powinni być w szkole prowadzeni przez nauczycieli-mężczyzn, a dziewczynki przez nauczycielki. Sedno sprawy leży w czem innym: oto kierownikami szkół zostają zawsze mianowani mężczyźni! I przeciw temu nie protestują wcale, nawet, gdy mają objąć kierownictwo szkół wyłącznie żeńskich i prowadzonych przez nauczycielki! Dlaczego jednak właśnie mężczyźni zostają kierownikami? Odpowiedź na to pytanie daje nam bardzo ciekawy obraz psychologii angielskiej, a może i nie angielskiej tylko: oto mężczyźni-nauczyciele uważaliby sobie za ubliżenie pracować pod kierownictwem kobiety, zwłaszcza (właśnie!) kobiety, posiadającej wyższe, uniwersyteckie wykształcenie, a z drugiej strony (o, to jest dziwne!), *kobiety wolą także kierownika-mężczyznę*, ma on dla nich więcej *powagi!*

Prawda, jaka ciekawa ta „angielska” psychologia obu płci?

ORDER POLSKI DLA AMERYKANKI.

Poseł polski w Waszyngtonie udekorował orderem Polski Niepodległej panią Wilhelminę Walker, znaną działaczkę społeczną, przewodniczącą licznych organizacji kobiecych amerykańskich. Pani Walker prowadziła gorliwą propagandę ku czci Pułaskiego, biorąc żywy udział w organizacji uroczystości naszego bohatera w Ameryce.



ś. p. ks. Marja Czetwertyńska.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI.

W tygodniu ubiegłym zmarła w Warszawie ś. p. ks. Marja z Uruskich Czetwertyńska, matka posła i wicemarszałka Sejmu, ks. Seweryna Czetwertyńskiego, przewodnicząca Katolickiego Związku Polek. Zmarła przez długie lata pracowała wydawnie na polu społeczno-dobroczynnym, pozostając, pomimo sędziwego wieku, na stanowisku.

Córka rodziny o pięknych tradycjach historycznych, żona uczestnika powstania 63 r., ś. p. ks. Czetwertyńska była całe życie gorącą patriotką. Specjalną opieką otaczała unitów, w czasie ich największych prześladowań. To też prawdziwie wzruszająca była chwila, gdy na pogrzebie zacnej obywatelki zabrał głos przedstawiciel ludu unickiego, stwierdzając, że lud ten żyć będzie w myśl jej wskazań i ideałów.

*

W Zakopanem zmarła ś. p. Hanna z Gomólińskich Paschalska. Już w bardzo młodym wieku brała udział w akcji Polskiej Partji Socjalistycznej, opłacając go kilkoletniemi więzieniem. Po zamążpójściu, Zmarła, znalazłszy się w Rosji, rozpoczęła pracę konspiracyjną w polskim Związku Walki Czynnej. Z chwilą powrotu do kraju, ś. p. Paschalska, po okresie pracy sanitarnej w r. 20-ym, poświęciła się całkowicie działalności społecznej. Była wiceprzewodniczącą Związku Inwalidów i jedną z najczynniejszych współpracowniczek pani Marszałkowej Piłsudskiej w „Naszym Domu“ i „Osiedlu“.

DYPLOMATKA AMERYKAŃSKA W STOLICY FRANCJI.

Senora Brigard de Pizano została mianowana attaché legacji stanu Kolumbia w Paryżu. Głównym zadaniem młodej dyplomatkę będzie śledzenie postępów pracy naukowej studentów amerykańskich we Francji. Pani Pizano jest wdową, matką dwojga dzieci.

NIEGODZIWI SAMURAJE PRZECIWI KOBIECIOM.

Biedne japonki doznały bolesnego zawodu. Tak pracownice i dzielnie urabiały opinię społeczną na korzyść skromnego przecież przywileju: chodziło o przyznanie im praw wyborczych, narazie do samorządu tylko. Nie o polityce nawet marzyły, ale o możliwości czynnego udziału w gospodarce miast i wsi, handlowczyźnie, lekarki, nauczycielki, robotnice, które codziennym trudem i darem organizacji pracy powiększają dobrobyt tych samych miast i wsi! Parlament przyjął większością głosów prawo o wejściu kobiet do samorządów, konserwatywni członkowie Senatu prawo to odrzucili!

Trzeba się pocieszać jednak, że tak zawsze było (za wyjątkiem jednej tylko Polski!) z początku, a na końcu „wrogowie kobiet“ zawsze musieli ustąpić ze swego nieprzejednanego stanowiska.

POWINNYŚMY TAM BYĆ.

Pisaliśmy niedawno na tem miejscu, że dzięki energicznej akcji przedstawicielek związków międzynarodowych kobiecych w Genewie, udało się „przekonać“ Ligę Narodów, aby nie załatwiała „na kolanie“ sprawy obywatelstwa mężatek i odłożyła decyzję w tej sprawie do sesji wrześniowej, z warunkiem zasięgnięcia zdania związków kobiecych. Obecnie członek Rady Ligi, pan José Matos, delegat Guatemali, który wniósł w styczniu r. b. ten projekt na obrady i uzyskał jego zatwierdzenie, rozesał za pośrednictwem sekretarjatu generalnego Ligi do związków kobiecych zaproszenie, o mianowanie członkiń do komisji obywatelstwa kobiet zamężnych. Zaproszenie to otrzymały następujące zrzeszenia: Międzynarodowa Rada Kobiet, Międzynarodowa Liga Praw Wyborczych i pracy obywatelskiej Kobiet, Międzynarodowa Liga Pokoju i Wolności, Międzyszanowy Komitet Kobiecej amerykańskiej, Federacja Kobiet z wyższem wykształceniem, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet (Y. W. C. A.), powszechny Kongres Kobiet Azjatyckich.

Przypominając genezę sprawy, podczas styczniowych obrad Ligi i jej decyzję dyskutowania praw obywatelstwa mężatek we wrześniu r. b., sekretarjat prosi związki o wyznaczenie delegatek i składanie projektów i propozycji, dotyczących obywatelstwa mężatek, w myśl życzeń reprezentacji kobiecych, do dnia 1 lipca, ażeby móc przygotować te projekty na sesję.

Wiadomo, że stowarzyszenia kobiece polskie wchodzi do związków międzynarodowych, do Rady kobiet, Ligi Praw Wyborczych, Federacji Kobiet z wyższem wykształceniem i t. p.; jest więc najwyższy czas dopomnieć się w centralach tych związków, aby w liczbie delegatek znalazła się i polka, raz dla ważności obrad, drugi, że nasze działaczki nie ustępują w niczem tym kobietom z Anglii, Ameryki, Czechosłowacji i innych krajów, które zdobyły już poważny głos i wpływy na terenie Ligi. O ten wpływ i przedstawicielkę z Polski wystąpić powinny nasze związki, a w pierwszym rzędzie Klub Kobiet postępowych, Stow. Kobiet z wyższem wykształceniem i Związek Pracy Obywatelskiej, afiliowane do Związków międzynarodowych.

JUŻ SIĘ UCZYMY MIESZKAĆ.

Wybitnie ważną akcję podjął wydział mieszkaniowy Warsz. Tow. Higjenicznego: zorganizowanie instrukcyjnego kursu mieszkaniowego.

Nareszcie ktoś fachowo poprowadzi sprawę nauczania ludzi, jak zbudować i urządzić nowoczesne mieszkanie! Opinia instytucji, organizującej wykłady, jak również program i osoby wykładowców zapowiadają nam zasadnicze ujęcie tej ważnej sprawy. Z prawdziwą przyjemnością też zaznaczyć należy, iż poważną część referatów objęły fachowe siły kobiece: Kolo studjów gospodarstwa domowego, ceniona specjalistka urządzeń mieszkaniowych i spraw spółdzielni, p. Ginett-Wojnarowiczowa (znana czytelnikom „Bluszczu“) i architektka, p. Weinfeld-Jankowska.

Inicjatorzy kursu za główne jego zadanie uważają:

1) stworzenie propagandy konieczności właściwego mieszkania;

2) danie pewnego zasobu wiadomości osobom, które, prowadząc pracę instrukcyjną w innym zakresie, odwiedzają przytem mieszkania ubogie i przeludnione (pielegniarki, kontrolerki sanitarne, pracownicy spółdzielni, opiekunki i opiekunowie domów miejskich i osiedli dla bezdomnych, opiekunowie społeczni).

Osoby te, mając specjalne nastawienie, będą mogły wy-

wierać wpływ dodatni na polepszenie bytowania nawet w złych warunkach i na podniesienie poziomu kulturalnego mieszkańców.

Obie te części programu są równoważne. Stworzenie kadry wyszkolonych inspektorek wpłynąć może wydatnie, nie tylko na *najmożliwsze* urządzenie się ludzi, zmuszonych narazie istnieć w niekorzystnych warunkach mieszkaniowych, ale może też rozwinąć w nich energiczną dążność do poprawy tych warunków. Dla tych zaś, którzy mają możliwość urządzenia nowego, lub radykalnej reformy dotychczasowego lokalu, gruntowne zaznajomienie się ze sprawami takimi, jak: zakładanie i prowadzenie spółdzielni, ich rachunkowość i administracja (abrakadabra dla przeciętnych spółdzielców, wytwarzająca warunki uczestnictwa o nieproporcjonalnie dużej rozpiętości cen w różnych spółdzielniach), plany sytuacyjne mieszkań, inwestycje gospodarcze i praktyczne wykończenia, urządzenie racjonalnej kuchni w starym i nowym domu, właściwe korzystanie z urządzeń, wybór mieszkania, meble nowoczesne, wmurowane, składane i t. p.; wszystko to są tematy, jaknajbardziej obchodzące dzisiejszych lokatorów i spółdzielców.

Kurs ten (7 dniowy), rozpocznie się w drugiej połowie maja; opłata wynosi tylko 5 zł. za przesłuchanie wykładów. Podania składać należy *do dnia 10 maja*, do sekretariatu Warsz. Tow. Higjenicznego (Karowa 51). Od kandydatów wymagane wykształcenie w zakresie 4-eh klas szkoły średniej.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Po paru latach znośnych stosunków z Gdańskiem, nastąpiło znów niesłychane zaostrzenie.

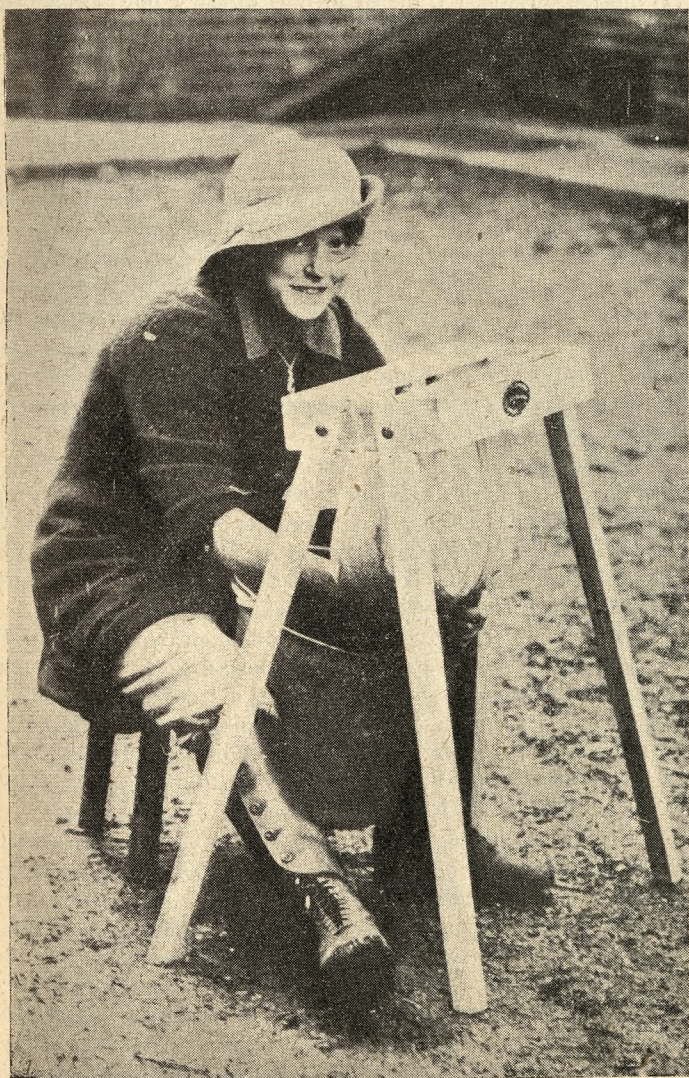
Ludność Wolnego Miasta, która zaczęła zżywać się lojalnie z Polską, sprowokowana została, po ostatnich wyborach niemieckich, przez hitlerowców i Stahlhelm, a wybryki członków tych organizacji na terenie Gdańska, skierowane przeciwko polakom, przybrały w ostatnich miesiącach rozmiary niebywałego skandalu.

Napady na młodzież szkolną polską na ulicach Gdańska, pobicie inspektora celnego, inż. Roupperta, napad na statek polski „Kopernik“, zamordowanie urzędnika Styrbickiego i uwolnienie zabójcy, to „wiązanka“ gwałtów gdańskich, popełnionych na obywatelach naszego państwa. Niektóre z tych wyczynów noszą charakter bolszewickiego wprost bestjalstwa, jak np. wycięcie „hackenkreuzu“ na piersiach marynarza ze statku „Kopernik“.

Do awantur z Gdańskiem jesteśmy już „historycznie“ przyzwyczajeni. Mile to miasteczko zawsze ciągnęło z Polski, ile mogło, korzystało z jej opieki, a wzamian za to pokazywało rogi. Dawniej jednak sytuacja była o tyle łatwiejsza, że rogi te można było swobodnie przytrzeć, o ile wzrost ich przechodził już miarę. Obecnie Gdańsk pozostaje pod opieką Ligi Narodów, przedstawiciel jej, Wysoki Komisarz, ma regulować prawa, lecz i obowiązki gdańszczyzan w stosunku do Rzeczypospolitej.

O ile chodzi o stosunek do Ligi Gdańska, to nie zasypia on sprawy, wnosząc ciągle w Genewie zażalenia; za to Liga nie potrafiła ochronić bezpieczeństwa obywateli polskich. Gdy nareszcie przebrała się miara, i Komisarz Generalny Rzeczypospolitej w Gdańsku, minister Strassburger, złożył rządowi polskiemu swoją dymisję, z powodu „nieposiadania środków do obrony obywateli na terenie Wolnego Miasta“ (rząd polski dymisji nie przyjął), przybył wreszcie Wysoki Komisarz Ligi, hr. Gravinga, do Warszawy, dla omówienia sprawy Gdańska z rządem polskim. Sprawa Gdańska wejdzie pod obrady Ligi w maju, łącznie ze sprawą Anschlussu. Zestawienie ciekawe, ale... nie nowe. Nie zanadto śmiały będzie wniosek, że państwa, które bezceremonjalnie stawiają Ligę przed faktem dokonanym, zyskują jej placet, mniej lub więcej dobrowolne. Nad tem też warto się zastanowić.

Na ostatniem posiedzeniu nadzwyczajnem, zwołanem przez Pana Prezydenta, Sejm przyjął ustawę o pożyczce francuskiej na wykończenie linii kolejowej Śląsk — Gdynia.



DOJENIE BEZ KRÓW.

W angielskich fermach zaprowadzona jest nauka dojenia na specjalnych aparatach.

NASZA MÓWNIKA

Trzeba szukać sposobu (w odpowiedzi „Rozgoryczonej“).

Sprawa, przez Szanowną Panią poruszona, wychowanie dzieci, oby jaknajczęściej była przedmiotem roztrząsań pomiędzy wszystkimi, zajętymi praktyką wychowawczą.

Pole tej pracy właśnie, gdzie większość pracuje bez przygotowania, nawet bez poczuwania się do obowiązku pogłębiania swoich poglądów i sprawdzania wartości natchnień chwili, jest przebijająco zachwaszone.

Dobry to objaw, gdy się ktoś pragnie informować, gdy szuka dróg i sposobów. Tylko, oczywiście, nie otrzyma „radikalnego środka“ od przygodnego doradcy, dla tej prostej przyczyny, że takich recept niema w pedagogice, zupełnie tak, jak niema w aptece leku na zapalenie płuc, czy na katar żołądka, z gwarantowaną w każdym wypadku skutecznością. Szanowna Pani, jak widać, ma ciężkie i niewdzięczne zadanie: wychowanie osieroconych dzieci. Gdy stoimy wobec zadania trudnego, nie jest wskazane borykać się samotnie, zasobami pojedynczego człowieka. Siły psychiczne mogą zawieść i dochodzi się właśnie do *rozgoryczenia*, które już, niestety, gwarantuje bezowocność pracy.

Gdy w ojcu pół-sierot nie ma Pani współpracownika, niech Pani szuka pomocy w piśmie fachowym: tam ludzie właśnie o tych sprawach myślą, roztrząsają je, dzielą się z poszukującymi tem, co znaleźli sami. W żadnej pracy nie może dziś człowiek się obejść bez szerszego rozejrzenia się w jej całokształcie, tembardziej w pracy wychowawczej, a to daje pismo fachowe. Jest takie np. „Dziecko i Matka“ (adres: Plac Zamkowy 9. Warszawa; warunki prenumeraty: mies. 1 zł. 40 gr., kwart. 4 zł.) dwutygodnik.

Czytanie tego pisma dużo dało niejednej wychowawczyni, czy matce. Moralnie podtrzymuje ideę wspólnego wysiłku serce i myśli w zbożnej pracy. Bezradność ustąpi, pewne zasady i poglądy naświetlą się krytycyzmem.

Choć do goryczy nie chciałabym dodawać piołunu, muszę przyznać, że tam, gdzie Szanowna Pani nie widzi żadnego uchybienia ze swej strony, ja dostrzegam ich kilka: 1-o nieposób tak wychowywać dziecka, żeby *sobie* nic nie mieć do zarzucenia, gdyż wszyscy my, wychowawcy, jesteśmy tylko ludźmi i do doskonałości jedynie możemy dążyć; 2-o nieposób tak wychować człowieka, aby był doskonałym. Możliwość, to dać jaknajwięcej dobra i rozwinąć jak najwięcej dobrych cech.

Dalej, Sz. Pani pisze: „nie daję im rodzinnego ciepła“ i „młodsze bardzo lubię“. Już sam fakt, choćby nie wiem jak ukrywany, że się jedno z dzieci więcej lubi, lub, gorzej, że się tylko jedno z dwojga lubi, wystarcza, żeby moralny poziom dziecka się obniżył: czuje się ono wtedy wolne od moralnych zobowiązań wobec wychowawcy (nawet rodziców); stąd kłamstwo, zawziętość, zawiść, zacinięcie się, najtypowsza czasem nienawiść, nieustępująca wobec dbania o przyjemności i potrzeby, *zewnątrzną* sprawiedliwość etc.

Gdy do tego dodać: karanie dziecka różną, powiem Sz. Pani: te dzieci kłamią, bo *muszą* kłamać; kara cielesna, zwłaszcza stosowana stale (nie raz w życiu!) i do dziecka już starszego, zabija honor, ambicję, szacunek dla siebie samego; czyni je niewolnikiem, który w niewoli się upadła. Biorąc w opiekę dzieci bite, zawsze żądałam zniesienia kary cielesnej; zapowiadane kłęski nigdy się nie sprawdzały, rezultaty były bardzo dodatnie. Wskazać jednak, jak przejść od bicia do autorytetu moralnego, nie mogę; z każdym dzieckiem inaczej, i każdy wychowawca też będzie musiał poczynać sobie inaczej. O tem decyduje indywidualność obojga.

Oby te słów kilka, doprawdy życzliwej i współczującej krytyki, mogło przynieść Sz. Pani choć odrobinę otuchy. Czuć w Pani dobrą wolę, a to gwarantuje możliwość naprawy zła.

M. Beniślarowska.

Problem bezrobocia a praca kobiet.

W jednym ze swych artykułów p. t. „Prawo do wojny“ rzuca pytanie p. H. Naglerowa: „Czy równouprawnienie ma wielu zwolenników wśród mężczyzn“?

Pytanie już nieaktualne. Sądzę, że wielu mężczyzn wobec powyższego pytania stanęłoby bezradnie, nie wiedząc, jaką dać odpowiedź, a to z tego powodu, że idea równouprawnienia tak wszechpotężnie wtargnęła do wszystkich dziedzin życia i przestoczyła się w czyn, że wczorajsi zdeklarowani wrogowie stanęli dziś wobec faktu dokonanego; trudno zatem wymagać od nich, by po swem zdetronizowaniu, stali się odrazu gorącymi zwolennikami tego, tak szkodliwego w ich mniemaniu, ustroju społecznego.

Tych jednak mężczyzn jest niewiele, natomiast więcej znacznie mamy zwolenników. I łatwo znaleźć można powód tej sympatii, może nazbyt egoistyczny, jednak prawdziwy. Przypuśćmy: ojciec licznej rodziny sam nie podola pracy jej żywiciela, staje mu nagle do pomocy, i to wydatnej, żona! Albo tenże ojciec jakoś z biedą wiąże, jak się to mówi, koniec z końcem, nie może jednak np. swej starszej córce sprawić bodaj skromnej wyprawy; z tej troski uwalnia go ta sama córka, przyjmując posadę, i t. d.; są to dziś objawy powszechne i dobrze znane. Nie tu jednak leży meritum sprawy!

Autorka wspomina w swoim artykule pierwszy występ kobiety równouprawnionej podczas wojny światowej. Pod wpływem, przypuszczam, chwilowego rozgoryczenia (zresztą może nawet słusznego), autorka zapomniała o tych, którzy trudami i krwią swoją znaczyli świetlany szlak wolności Rzeczypospolitej, którzy ufali, że ogłoszenia, obietnice, rzucane na lewo i na prawo na ulicach Warszawy w obliczu grozy bolszewickiej, nie będą czczemi, na wiatr rzuconymi słowami. „Ojczyzna o was nie zapomni“!

I te same panie, które wówczas tak troskliwie tych szarych żołnierzyków obsługiwały, rzucając im pełne otuchy spojrzenia, dziś bezlitośnie wołają: My mamy prawa, my zajmujemy posady, bez względu na to, czy zmusza nas do tego konieczność, czy nie! Smutne!

Prowadząc rzecz dalej, pytam, czy zmuszone są do zajmowania posad Pani, których mężowie otrzymują pobory np. 600 zł. miesięcznie (chyba dla zaokrąglenia do tysiąca!), lub te, których ojcowie są dobrze sytuowani? Potrzeba tu tylko rozsądnego zastanowienia. Każdy to zrozumie, że w Warszawie np. i 600 zł. nie jest zbyt dużo, ale skromnie żyć można.

Oprócz prawa do pracy, jest także prawo do życia! To też właściwym byłby apel do pań posłanek, by właśnie one wniosły przed forum sejmowe żądanie, nie zupełnego usunięcia kobiet z zajmowanych posad, ale usunięcia tych, które najmniej tego zarobku potrzebują. Znam osobiście posiadacza większej własności ziemskiej, nieobciążonej żadnym długiem, a jednak córka jego zajmuje posadę.

Na uwagę zasługuje ta okoliczność, że wśród bezrobotnych mężczyzn, najmniej 40 proc., to żołnierze z czasów wojny światowej, a takiej zmiany dekoracji w przyszłości, by kobiety wszystkie chwyciły za broń i poszły do okopów, a my ubralibyśmy się w berety szpitalne i opaski czerwonego krzyża dla pielęgnowania chorych, nie należy się spodziewać! A żyjemy obecnie w niezbyt pewnej atmosferze politycznej, więc też bagatelizować tej sprawy nie należy.

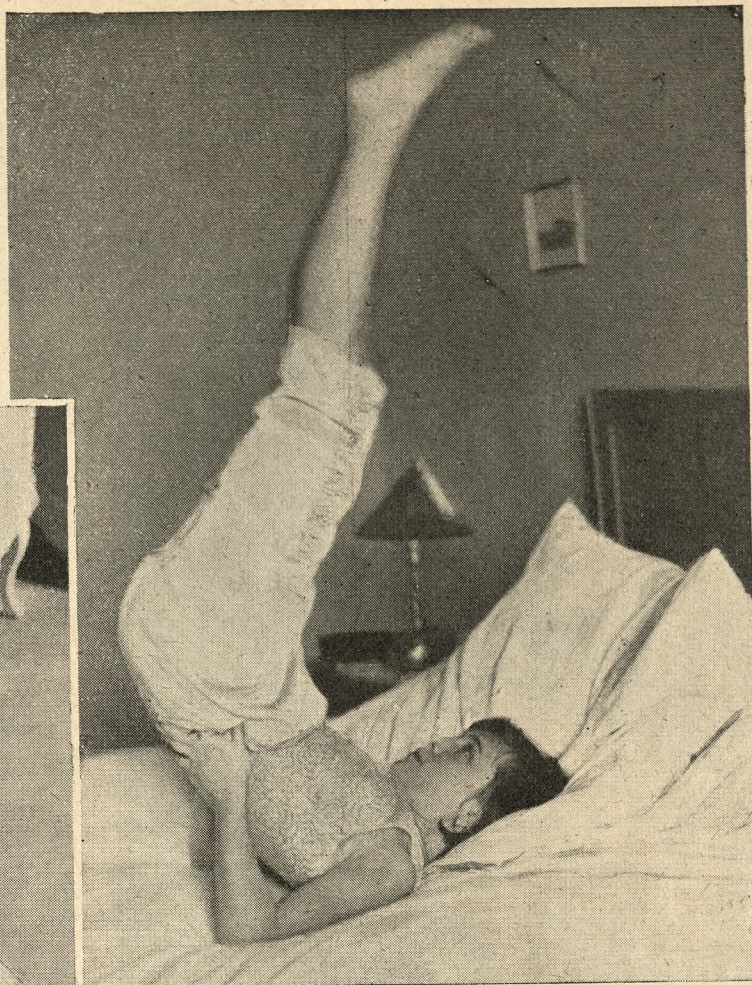
Kończę apelem do pań-Posłanek i innych, zdrowo i trzeźwo myślących, by w interesie właściwego równouprawnienia w danym wypadku więcej mężczyzn, niż kobiet (boć kobiety już je mają, a mężczyźni stopniowo tracą), wzięły gorąco tę sprawę do serca, które zawsze kobiecemu zostanie i tętni żywym uczuciem na niedolę bliźniego.

B. W.

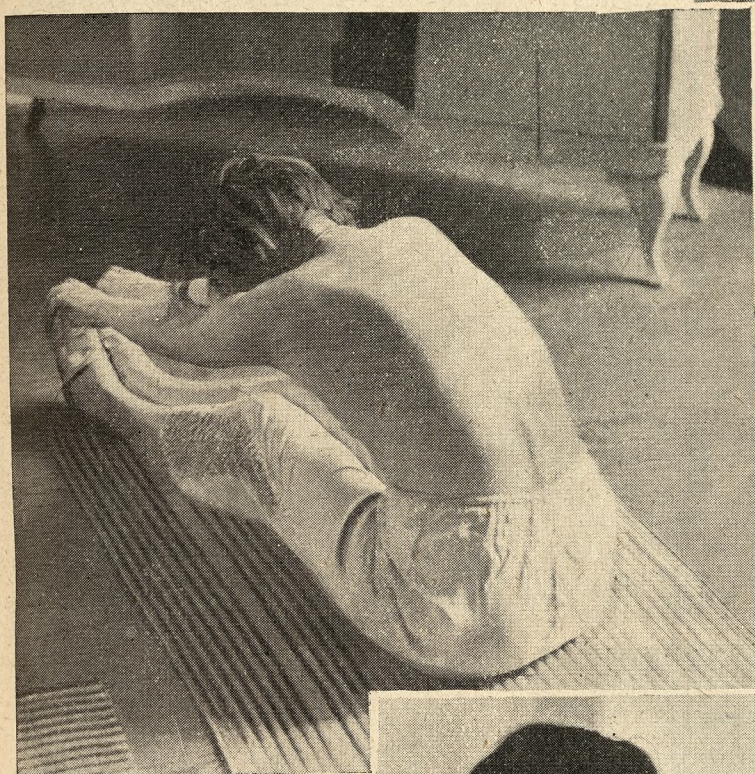
CZEGO WYMAGAJĄ ZDROWIE I URODA

Do zamierchłej przeszłości należą te czasy, kiedy kobieta trzydziestoletnia uważała się za „matronę“, nakrywała włosy „fanszonikiem“ i z rezygnacją oczekiwała starości.

Dziś każda stara się zapomocą codziennych zabiegów higieniczno - kosmetycznych zachować jaknajdłużej zdrowie, świeżość i urodę. Podsta-



Poranna „świeca“ w łóżku rozpoczyna zabiegi.



Ćwiczenia tułowi w pozycji siedzącej.

wowym warunkiem do osiągnięcia tego celu są: świeże powietrze i czystość.

Sypiać należy w pokoju doskonale przewietrzonym (możliwie z dopływem świeżego powietrza).

Natychmiast po przebudzeniu, w przewietrzonym pokoju, wykonać szereg ćwiczeń gimnastycznych. Zaczyna się od ćwiczenia w łóżku. Ułożywszy się nawznak, trzeba powoli podnosić nogi, złożone razem, ku górze, dopóki drogą treningu nie doprowadzi się tułowia do pozycji „świecy“. Gimnastykę taką powtarzać przez kilka minut (3 — 5). Następ-



W oczekiwaniu przyjemnej kąpieli.

nie wyskoczyć z łóżka, wykonać kilka ćwiczeń oddechowych. Potem usiąść na podłodze z obnażonym torsem, wyprostować nogi i wyciągniętymi rękoma dosięgać palcy u nóg. Po paru minutach przystąpić od zabiegów toaletowych.

Każdej pani przysięda się uważne spojrzenie w lustro, celem dokładnego zbadania braków i wad cery. Następuje mycie, lub (rzadziej w naszych warunkach dostępna) codzienna kąpiel. Jednak, pomimo różnych trudności, kobieta kulturalna powinna zawsze organizować sobie dom w ten sposób, a by na najpierwszym miejscu p o t r z e b gospodar- czych postawić ła-

zienkę, a wydatki na kąpiel przewidzieć w budżecie. Po kąpeli, czy też po długotrwałem i bardzo starannem umyciu z obfitością ciepłej wody i mydła, doskonale robi stosowanie od czasu do czasu zimnych okładów na twarz. W tym celu macza się miękką serwetkę w wodzie, wyżyma i okłada się nią twarz na przeciąg paru minut.



Zimny okład na twarz jest zabiegiem bardzo celowym.

Ważną rzeczą jest manucure. Brudne i źle utrzymane paznokcie są niesłychanie wstrętne. Trzeba pamiętać, że ręce, oprócz mycia, wymagają niejedno-



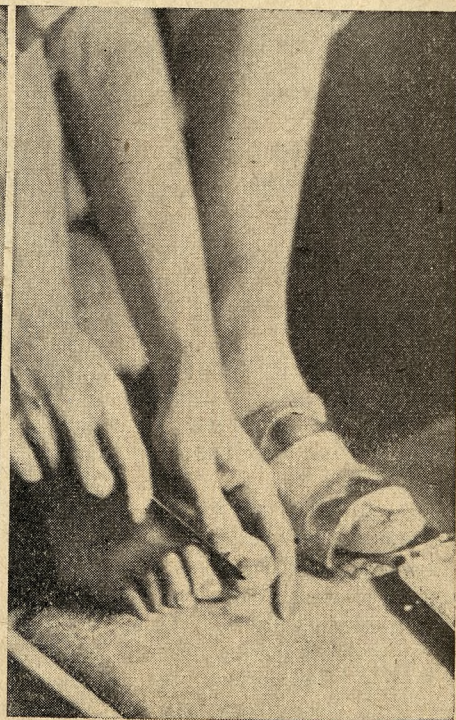
Manucure należy do codziennej toalety.

Dobrze jest stosować ten zabieg po silniejszym zmęczeniu, albo przed pójściem na wieczorną zabawę. Po delikatnem wytarciu twarzy następuje szereg indywidualnych zabiegów kosmetycznych.

Lekki masaż twarzy, którego łatwo się nauczyć, dobry krem i puder, to prawie wszystko. Pozostaje staranne uczesanie brwi, bo wyraz twarzy bardzo od tego zależy! Brwi wymagają pielęgnowania, a czasem... brzytwy, która wraz z żiletką stała się niezbędnym składnikiem kobiecej gotowalni.



Ważne i niezbędne jest czesanie brwi.



Pedicure wymaga cierpliwości.

krotnie w ciągu dnia dobrego pilnika. Natomiast pedicure można powtarzać co parę dni, jeżeli czas nie pozwala na codzienne pielęgnowanie.



Ostatnie, krytyczne spojrzenie w lustro.

Po takich codziennych, elementarnych zabiegach higieniczno-kosmetycznych, na które trzeba poświęcić małą godzinę czasu, każda pani poczuje się odświeżona i odmłodzona.

Mabel.

O KOBIECIE WSPÓŁCZESNEJ I KOBIECOŚCI JAKO TAKIEJ

(dokończenie)

Zdobycie dla siebie szacunku jest sprawą pierwszorzędną w życiu każdej kobiety, szczególnie kobiety pracującej, zwłaszcza młodej i przystojnej. Jeżeli tego nie potrafi, jeśli nie zdoła uzyskać moralnego kredytu — każdy jej postępek będzie służył za temat do niezyczliwych komentarzy, każde słowo, zwrócone do któregoś z kolegów, będzie uważane za zaczepkę, każdy uśmiech lub żart — za prowokację. Pod względem wewnętrznej rykerskości i istotnej kurtuazji stosunku mężczyzny do kobiety, stoimy jeszcze bardzo nisko, zwłaszcza w porównaniu z Ameryką i Anglią. Tam każdy mężczyzna czuje się naturalnym obrońcą każdej kobiety, a nadużycie kobiecego zaufania uważane jest za coś tak nieskończenie plugawego, że się poprostu nawet nie posadza o nie ludzi, którym się podaje rękę, podobnie, jak my nie posadzamy zaproszonych przez nas gości o kradzież srebrnych łyżeczek. Młody człowiek może zabierać młodą dziewczynę na tańce, na wycieczki, może ją zapra-

ścić na śniadania i obiady do restauracji, nawet do siebie. Nikt w tem nie widzi nic zdrożnego. Przyjaźń młodzieży płci obojga jest tam wolna od brudnych podejrzeń i insynuacji. Jeżeli młodzi się pokochają, to się pobiorą. Jeżeli przestaną się lubić, lub budzić w sobie zainteresowanie, to się rozejdą, jak każda para przyjaciół jednej płci. Mogą też pozostawać przyjaciółmi przez całe życie i przyjaźń ta nie omroczy ani na chwilę czoła jej męża i jego żony.

Rozwój sportów, uprawianych razem przez młodzież płci obojga, a zwłaszcza skauting i jego ideologia, zrobiły i u nas bardzo dużo w kierunku unormowania i oczyszczenia wzajemnego stosunku młodzieży. Ze wstydem jednak musimy przyznać, iż niereżadcy są u nas panowie, robiący w salonie przejryste aluzje do swych mnogich podbojów i panie, przyjmujące te aluzje, jako świetny dowcip, i że o człowieku, który nie skorzysta z tak zwanej „okazji“, rzadko się u nas mówi: „porządny człowiek“, a często: „nie-dolęga“.

Zwyczaj mierzenia win kobiecych i męskich nierówną miarą zachowuje się u nas dotąd w całej pełni. Te same niewłaściwości, które w zachowaniu mężczyzn budzą pobłażliwe uśmiechy — w zachowaniu kobiet wywołują oburzone zgorszenia wszystkich, nie wyłączając panów, którzy te niewłaściwości prowokują i z nich korzystają. Istnieją nawet liczne kółka i kółeczka, w których postępowanie kobiety bywa zawsze komentowane na jej niekorzyść: powściągliwa — uchodzi niezawodnie za fałszywą; wesola — za kokietkę; skromna za prowincjonalną gęś. Kobieta, któraby chciała brać do serca wszystko, co o niej mówią i co powiedzieć pragną, powinna odrazu wstąpić do klasztoru, jak to już dawno radził Ofelji książę Hamlet: wtedy ma przynajmniej szanse uniknięcia obmowy. Pozostając w świecie, musi nauczyć się ignorować pewną kategorię plotek, które, jak złe psy, przestają ujadać, o ile się na nie nie zwraca uwagi. Liczyć się powinno jedynie ze zdaniem ludzi, na których zdaniu nam zależy ze względów moralnych, uczuciowych, no i materialnych, a także oczywiście, z własnym sumieniem przedewszystkiem.

Przestrzeganie różnych „nie wypada“ w życiu kobiety pracującej jest nonsensem i niemożliwością. Być może, że nie wypada młodej kobiecie ukazywać się na ulicy w towarzystwie młodego mężczyzny, ale jak tego uniknąć, jeżeli oboje kończą zajęcia o tej samej godzinie i czekają na ten sam tramwaj, bo mieszkają w tej samej dzielnicy? Czy mają gwoli zachowaniu pozorów tkwić po przeciwnych stronach ulicy? Może i niewypada, żeby młoda panna chodziła z młodym człowiekiem do restauracji, ale cóż mają począć, jeżeli stołują się w tej samej jadłodajni? Czy mają uporeczywie siadać przy różnych stolikach? A jeżeli tylko jeden będzie wolny? Wreszcie, czy nie byłoby nonsensem, gdyby dwoje ludzi, spędzających codzień 8 godzin przy wspólnej pracy, nie mogło w wolnej chwili wybrać się razem do kina, kawiarni lub na spacer, dla tej jedynie przyczyny, że są różnej płci. Od kobiety zależy zachowanie tym wycieczkom ich właściwego charakteru. Jeżeli jej towarzysz rościł sobie nadzieję na coś więcej, niż na miłą pogawędkę, rozczaruje się niebawem i sam zacznie spotkań poza-biurowych unikać.

Kobieta może zawsze położyć kres niewłaściwym odezwaniom i żartom, nie udając przytem ani obrażonej księżniczki, ani naiwnej pensjonarki. Taktyka udawania, że się czegoś nie rozumie, jest mylna, gdyż nikt w to nie uwierzy; zgorszone okrzyki mają właściwość podniecania do dalszych w niewłaściwym kie-

runku wynurzeń; najlepiej jest okazać, że nas dwunaczący dowcip nie bawi, wyznanie zbagatelizować, oszczędzając, o ile możliwości, cudzą miłość własną.

Jeżeli kobieta przyjmuje panów u siebie obiadem lub kolacją, może przyjmować ich zaproszenia do teatru lub restauracji, ale tylko w takim wypadku, o ile nie wyczuje w tonie zaprosin, że dany osobnik sam uważa swoją propozycję za niewłaściwą. Ponieważ mamy w Polsce tyle niemal kodeksów światowych, ilu jest ludzi, można więc w tem samym kółku spotkać i takich, którzy zaproszenie kobiety do restauracji uważają za zwykłą formę rewanzu towarzyskiego, i takich, którzyby przyjęcie ich zaproszenia uważali za równoznaczne z przyjęciem na schadzke. Tych ostatnich zdradza zazwyczaj zażenowana tajemniczość, z jaką wybąkują swe zaprosiny, zaznaczając, że w razie spotkania kogoś ze wspólnych znajomych, „można będzie powiedzieć, żeśmy się spotkali przypadkiem, albo, że czekamy na kogoś trzeciego”. — Zdolność obserwacji i znajomość psychologii ludzkiej może oszczędzić kobiecie zarówno ośmieszenia się obrażoną odmową na uprzejmą propozycję, uczynioną w najlepszej wierze, jak i przykrości prostowania omyłek i niweczenia rozkosznych złudzeń. W towarzystwie męża może kobieta bywać absolutnie wszędzie, nie wyłączając przyjęć kawalerskich. Natomiast dla kobiety samotnej, w naszych warunkach, należy uznać odwiedzanie panów w ich mieszkaniu, zwłaszcza wieczorem, za wielce ryzykowne. Wyjątek muszą stanowić jedynie obłożnie chorzy. Dwoje ludzi bezdomnych, czyli mieszkających gdzieś kątem, może i musi spotykać się na gruntach neutralnych, jakeimi są coraz bardziej rozpowszechniające się kawiarnie. Przy takich spotkaniach kobieta nie powinna pozwalać, aby mężczyzna za nią stale płacił. Po pierwsze, może mu to sprawić różnicę; powtóre musi mu to nasuwać szereg niepożądanych przypuszczeń, a przede wszystkim to, że ma jakieś prawa do danej kobiety. O ile kobieta i mężczyzna nie płacą zawsze za siebie, mogą płacić kolejno, podobnie jak czynią w takim wypadku dwaj często ze sobą obcujący mężczyźni, lub dwie kobiety. Nie należy wszczynać zaciętych kłótni i targów o wykupiony za nas bilet tramwajowy, lub zapłaconą w kasie kawę, tylko zrewanżować się przy pierwszej sposobności.

Kobieta, która pali, powinna zawsze mieć własne papierosy i zapalki. Systematyczne „opalenie” bliźnich naraża kobietę na osamotnienie w salonie i na imperytynencję w biurze. Zaciąganie się ukradkiem cudzemi papierosami jest niechlujstwem, zdawałoby się, nie do pomyślenia w żadnym względnie kulturalnym otoczeniu. Nie przyszłoby mi do głowy o tem pisać, gdybym sama nieraz nie miała przykrości widzieć panienek z zamożnej warszawskiej burżuazji, wyciągających papierosa z ust dopiero co poznanego młodzieńca.

Czasy nieodstępnych przyzwoitek należą do przeszłości. Któraż z kobiet pracujących mogłaby sobie pozwolić na luksus utrzymywania i wożenia ze sobą starszej krewnej, służącej wyłącznie za parawan do niepopelnianych grzechów? Nawet w sferach artystycznych tradycyjna „teatralna matka” została jednomyślnie uznana za zbyt ciężki balast. Po długich wiekach ludzkość dojrzała wreszcie do myśli, że kobieta, pełnoletnia fizycznie i duchowo, potrafi się zachować przyzwoicie bez dozorczyń i odpowiednie zachowanie swemu otoczeniu narzucić. Odwrotną stroną większych praw jest większa odpowiedzialność; kobiecie współczesnej nie wolno ani na chwilę zapominać, że stosunek innych do niej zawsze jest jej wyłączną zasługą lub winą.

W podjęciu tej poważnej odpowiedzialności nie na wiele się zdadzą ogólnie przyjęte kodeksy — formy towarzyskie, a pomoc może jedynie wrodzone poczucie miary, zdolność orjentowania się w sytuacji, czyli takt — takt we wszystkim i jeszcze raz takt.

J. K

PRANIE W OPRACOWANIU NAUKOWEM

Czy można coś nowego powiedzieć o praniu? Czy można podejść do tej przykrojonej bardzo, lecz koniecznej czynności, z punktu widzenia nauki i rozpatrywać podstawy prania, jako nową dziedzinę gospodarstwa domowego, nasuwającą szerokie pole do eksperymentowania?

W odczycie na temat „Racjonalne Podstawy Prania Domowego”, wygłoszonym dnia 22 kwietnia r. b. w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, inż. Wacław Kączkowski przekonał nas, że można.

W niezmiernie prostej i przejrzystej formie omówił prelegent przede wszystkim *warunki brudzenia*, potem zapoznał słuchaczy z *właścivościami tkanin*, które praniu poddajemy, wreszcie przeszedł do *zasadniczych metod prania* właściwego.

Jeśli chodzi o warunki brudzenia białizny i odzieży, to nie jest to bynajmniej rzeczą błahą, ponieważ od rodzaju składu chemicznego brudu uzależniamy sposób prania, czyli usuwania go z tkanin.

Brud składa się przede wszystkim z *kurzu* — pyłu, powstającego z wysychającej gleby, nawozu kruszejącego, piasku; pozatem z tłuszczów, roślinnych i zwierzęcych, olejów, smarów; wreszcie z soli i tłuszczów mineralnych oraz sadzy — czyli rozetłonego węgla. Powyższe składniki znajdują się w kurzu i brudzie wielkomięjskim i dlatego jest on znacznie trudniejszy do usunięcia, aniżeli kurz wiejski, który powstaje jedynie z gleby, piasku, nawozów i odpadków roślin.

Poza kurzem w brudzie odnajdujemy *ciała białkowe* (wszelkie śluzówki, wydzieliny z nosa i t. p.) oraz cukry rozpuszczalne (jak skrobia — krochmal). Kurz doskonale usuwa mydło, które emulguje znakomicie wszelkie tłuszcze roślinne. Gdy jednak będzie nam chodziło o wypranie tłuszczów mineralnych, jak smary, oleje i t. p., musimy uciekać się do odczynników mineralnych, ponieważ mydło ich nie rozpuści. Ciała białkowe już w samej wodzie letniej pęcznią i rozpuszczają się, dlatego tak bardzo wskazane jest *moczenie* białizny przed gotowaniem; natomiast *zaparzenie* białizny brudnej jest z gruntu fałszywe, ponieważ białko w wysokiej temperaturze ścina się i tem lepiej przenika wewnątrz tkaniny.

Pranie właściwe, które polega na oswabdzaniu tkanin z nalotu brudu, wykonywać można trojakim sposobem: 1) *zacieraniem* drobno sproszkowanymi pudrami osuszającymi: efekt polega na wytrzeptaniu sproszkowanego brudu wraz z pyłem i kurzem, znajdującym się w danej odzieży, czy materji; 2) *praniem* w roztworze mydła, które rozdrabia cząsteczki tłuszczu i brudu i w postaci emulsji zbiera je z powierzchni, a także wydobywa z pomiędzy włókienek; wreszcie 3) przez *zastosowanie rozpuszczalników* chemicznych.

Usuwanie plam, czy zabrudzeń systemem pudrowania jest najmniej zdradliwe. Posiłkowanie się mydłem już staje się nieraz ryzykowne, rozpuszcza ono

bowiem barwniki tkanin kolorowych. Najniebezpieczniejsze jednak jest stosowanie chemikaliów, które są przede wszystkim łatwopalne — jak benzyna, wydzielają gazy trujące — jak siarczek węgla, lub też są co najmniej przykre w zapachu. Pranie chemiczne przytem wymaga specjalnych urządzeń i dużej umiejętności technicznej. Wełna przez nieodpowiednie upranie chemiczne może być odtłuszczona zupełnie, a to ją skureczy raz na zawsze, ponieważ tkanina wełniana musi zawierać w sobie pewien procent tłuszczu, jeśli ma być elastyczna i mięsista.

Dlatego też przy praniu rzeczą pierwszorzędną wagi jest orjentowanie się w jakościach tkanin oraz umiejętność właściwego ich potraktowania.

Materje przedzie się z włókien roślinnych lub zwierzęcych. *Włókna roślinne* są mniej kręte i bardziej porowate. Do nich należą: len, bawełna i jedwab sztuczny. *Włóknami zwierzęcymi* są wełny i jedwabie szlachetne.

Bawełna i jedwabie sztuczne są trwałe, alkalje ich nie psują (z wyjątkiem środków utleniających). Natomiast nie znoszą kwasów mineralnych i pod ich działaniem rozpadają się, a jedwab sztuczny zamienia się w proszek. Z pośród środków utleniających najpopularniejszy jest chlorek. Daje dobre rezultaty przy ścisłym obliczeniu procentowości roztworu. W przeciwnym razie psuje materję i rozkrusza. Powszecchnie stosuje się chlorek po uprzednim ugotowaniu go w wodzie. Jest to dowód kompletnej ignorancji, gdyż po ugotowaniu chlorek rozpada się na różne inne związki chemiczne. Jedno jest tylko osiągnięte, że przestaje być szkodliwy — bo już nie jest chlorkiem. Są środki utleniające bez szkody dla tkaniny i o nich warto jest wiedzieć. Jest to chloramina i nadboran sodowy.

Bielizna lniana lepiej od bawełnianej znosi tarcie w praniu, ponieważ ma znacznie dłuższe włókienka. Bawełna szybko się mechaci i ładny jej wygląd zanika. Zarówno len, jak i bawełna, dobrze znoszą gotowanie, od czego znowu jedwab sztuczny traci swą moc i spoistość.

Gdy z kolei przechodzimy do włókien zwierzęcych, to stwierdzić możemy, iż wełny i jedwabie szlachetne oraz jedwab dziki — chesucza — boją się wpływów alkalicznych, a kwasy znoszą doskonale. Utleniające środki na nie nie działają. Woda, użyta do prania tych tkanin, musi być miękka i czysta, ponieważ wełny pochłaniają chętnie ciężkie sole wapienne i metaliczne, w wodzie zawarte. Jedwabie szlachetne wymagają też dobrej wody ze względu na zawarte w nich ciała białkowe.

Wpływ prania na daną materję uzależnia się od 1) własności samych włókien; 2) rodzaju tkaniny — gęściej, czy rzadziej tkanej; 3) od barwników. *Kolory* zazwyczaj płowieją od światła, wreszcie od częstego prania.

Dawniej zachowywało się większą specjalizację tkanin i wytwórczość ich była do tych wymagań dostosowana. Materjały letnie barwione były środkami niewrażliwymi na działanie słońca, jedwabie balowe nie psuły się od potu i t. d. Dziś od jednej materji żąda się wytrzymałości wszechstronnej. I stosowanie się do potrzeb dzisiejszej publiczności niezmiernie utrudnia wytwórczość przemysłowcom.

W praniu należy rozróżnić *czynniki mechaniczne od chemicznych*. Działanie mechaniczne przez tarcie, bicie, bełtanie bielizny ma na celu poruszenie włókien tkaniny tak, aby do cząsteczek brudu, w niej zawartych, mogły się przedostać materjały pralne.

Wysiłek przy wykonywaniu prania jest duży, praca ręczna jest kosztowna, a o maszynowej nie można jeszcze nic konkretnego zaopiniować, ponieważ każda z istniejących maszyn posiada pewne usterki.

Odczynnikami przy praniu są przede wszystkim: *dobra woda, mydło suche w wysokim gatunku, środki utleniające* (chloramina i nadboran sodu).

Woda musi być czysta, bez zawiesin, miękka, a więc pozbawiona soli, metali ciężkich (magnetu, wapnia). Woda twarda nie tylko nie rozpuszcza brudu, lecz daje duży ubytek na mydle, które nie emulguje, tworząc w połączeniu z wapnem osady nierozpuszczalne. Jeśli więc nie posiadamy wody deszczowej, lub rzecznej, a tylko wodę źródlaną, czy ze studni artezyjskiej, musimy ją zmiękczyć. W tym celu specjalną beczkę wypełniamy 100 litrami wody. Przygotowujemy jednocześnie kilka porcyj sody po 2 gr. W małym naczyniu przyrządzamy roztwór mydła, biorąc 5 gr. na 1 litr wody. Wrzucamy pierwsze 2 gr. sody do beczki i po 2 godzinach mieszamy odrobinę wody z częścią mydlika. Porcyjki sody dorzucamy do beczki, aż do chwili, w której mydlik w połączeniu z wodą zacznie się burzyć. Wtedy jesteśmy pewni, że woda jest dostatecznie miękka, a nadmiaru sody, który jest szkodliwy, nie posiada.

Mydło jest jedynym i nieodzownym czynnikiem przy praniu, lecz też nie może być stosowane w nadmiernej ilości. Na 50 litrów wody, użytej do prania pewnej partji bielizny, wystarczyć powinno 100 gramów mydła. Muszą być jednak przytem przestrzegane *pravidłowe zasady prania*.

Polegają one na *przygotowaniu* bielizny i przebraniu jej według 1) zabrudzenia, 2) gatunku włókien, 3) kolorów.

Drugim warunkiem jest *zamoczenie* w dużej ilości wody o temperaturze 16 st., dzięki czemu substancje białkowe i cukry rozpuszczają się.

Dalej następuje gotowanie, które wprowadza cząstki brudu w stan emulsji, rozpuszczając nawet zeszkłe tłuszcze. Wreszcie *pranie właściwe*, polegające na tarcu, wygniataniu i wyżymaniu zemulgowanego tłuszczu. O czystości bielizny decyduje jednak tylko należyte *plókanie*, które nie dopuszcza do ponownego skrzepnięcia rozpuszczonego brudu we włóknach tkaniny. Plókać należy natychmiast po upraniu, w wodzie nie chłodniejszej nad 37 st., energicznie przytem przebierając bieliznę.

Farbkowanie nie jest celowe, pokrywa bowiem jedynie wady prania. Sztuki bielizny pożółkłe, lub pokryte plamami związków organicznych, bielą proszki samopiorące. *Śladów rdzy* nie należy nigdy tlenić, gdyż się wykruszają włókna; natomiast można wywabić rdzę kwasem cytrynowym lub szczawowym, rozpuszczonym w ciepłym roztworze.

Zwyczaj *krochmalenia* bielizny jest z gruntu błędny. Pozbawia on bieliznę porowatości i chłonności, zmniejszając tem samem jej higieniczne wartości. Im dłużej gotowany jest krochmal, tem jest zgubniejszy dla bielizny, gdyż tem nieprzenikliwiej wypełnia włókna tkaniny. Zbrudzona bielizna, silnie nakrochmalona, jest znacznie trudniejsza do prania, a raz zaparzona w gorącej wodzie, nigdy nie odzyska należytej białości.

Oto w ogólnych zarysach nowe pojęcia z dziedziny racjonalności prania, rzucone przez inż. Wacława Kączkowskiego, kierownika doświadczalni Instytutu Gospodarstwa Domowego. Jeżeli więc dalsze prace Instytutu pójdą po tej drodze, staną się one cennym dorobkiem na polu domoznawstwa. *Pani Domu.*

WINA WĘGIERSKIE

Przy najdalej idącej samowystarczalności, nie możemy się obyć bez szeregu zagranicznych produktów, niczem nie dających się zastąpić u nas w kraju.

Do nich należą z napoi przedewszystkiem wina mszalne, na które powinno się używać tylko win gronowych, następnie takie wysokie gatunki win, których zastąpić krajowemi nie sposób.

Do jednych i do drugich należą przedewszystkiem wina węgierskie.

Niema chyba w Europie całej większych amatorów i większych znawców win węgierskich nad polaków. Przez stulecia całe były to bodaj jedyne wina, sprowadzane z poza granic kraju. Przyczyniało się do tego bliskie sąsiedztwo — powód najważniejszy przy utrudnionych środkach komunikacji — a także wyborny smak tych win, smak, który umieliśmy rozwyjać i potęgować umiejętnem przechowywaniem.

„Hungariae natum — Poloniae educatum“ musiał być maślacz, czy małmazja, którą raczono gości nietylko w wielkopańskim domu, lecz i u średnio zamownego, również serdecznie gościnnego szlachcica.

Baryłka lub okseft naprzód się wystąpił czas dłuższy u kupca lwowskiego lub krakowskiego. Wielki handel winami węgierskiemi dopiero znacznie później przeniósł się do Warszawy, gdzie stał się specjalnością kilku najpoważniejszych firm. Następnie beczułka ta musiała jeszcze się odleżeć w piwnicy nabycy, zanim poszła na stół odświętny.

Długo nie znano u nas szampana. Wesela i chrzciny, stypy pogrzebowe i imieniny, wszystkie uroczystości i obchody wesole i smutne oblewano starym węgryzmem.

I teraz, po wielkiej wojnie światowej, która wiele zabytków zupełnie zniszczyła, wiemy, że ocalały stare węgryzyny w równie starych piwnicach znanych winiarni stołecznych i nietylko winiarni.

Na otwartej w Resursie Obywatelskiej wystawie win węgierskich, jeden z obecnych na otwarciu, znanych obywateli opowiadał, że ma w swojej piwnicy, dzięki umiejętnemu zamurowaniu ocalałe z zawieruchy wojennej wina, liczące nie mniej, niż sto czterdzieści lat wieku. Słyszac to, węgier (a był to poważny eks-minister, patronujący tej wystawie) szeroko otworzył zdziwione oczy i musiał przyznać, że tak starych win oni w kraju nie mają.

Lecz, że te, co mają, są wyborne — stwierdziłam, próbując niezbyt stary (według naszych pojęć), bo tylko czternastoletni tokaj: był nadzwyczajny.

Mówiac o winie węgierskiem, mamy właściwie na myśli zawsze ten jego gatunek, tego króla win — wina królów, jak go w średniowieczu nazywano. Wszelkie lekkie i mocne wina młode, wszelkie zielniaczki możemy węgrom darować. Import ich jest dla nas tem mniej pożądany, że będzie zawsze stanowił poważną konkurencję dla produkcji naszych win krajowych, którym to młodym przemysłem winniśmy się opiekować przedewszystkiem. Wyjątek z tych win młodszych stanowią wina mszalne, których, oczywiście, od najbliższych sąsiadów sprowadzać nie nam nie przeszkadza.

Poza tem wina stare, wystale, amatorskie, wina lecznicze przedewszystkiem — a winem leczniczem jest właśnie tokaj, dzięki swym specjalnym częściom składowym — również zawsze będziemy sprowadzali.

Niczem niedające się zastąpić zalety swoje zawdzięcza tokaj niezwykłym warunkom klimatycznym, w których szczep jego rośnie.

Tokaj-Hegyalja, leżąca w północno-wschodniej części Węgier, osłoniąca od północy łańcuchem Tatr i oskrzydłona od wschodu i zachodu odnogami tych gór, stanowi jakby jedną dużą cieplarnię, gdzie wiosna jest wcześniejsza i jesień dłuższa, niż w pozostałych częściach kraju, i gdzie zima jest tak łagodna, jak na południu Europy. Gleba tej części Węgier jest pochodzenia wulkanicznego, co wpływa na zawartość dużej ilości części mineralnych w tem winie, przedewszystkiem zaś żelaza.

Tylko dwadzieścia osiem gmin liczy część Węgier, w całości oddana hodowli cennego szczepu tokaja, a jednak stanowią one największe bodaj bogactwo tego kraju.

Kiedy mówimy o tokaju, mamy zwykle na myśli wina słodkie-deserowe; tymczasem właściwy tokaj jest winem wytrawnem, bardzo mocnem, czerpiącym swą moc z dużej ilości cukru, zawartego w gronach i przy fermentacji przerabiającego się na spirytus.

Wskutek wielkich upałów niektóre jagody w tych gronach dojrzewają przedwcześnie, następnie więdną i usychają, tworząc jakby naturalne rodzynki. Te właśnie słodkie i aromatyczne jagódki są starannie, ręcznie z gron wybierane i przerabiane na rodzaj aromatycznej marmelady-papki, którą potem się dodaje do już wyciśniętego moszczu winnego. Dodanie tego cennego „asszu szölo“, w mniejszej lub większej ilości, stanowi o gatunku wina: im większy jest ten dodatek, tem wyższy będzie gatunek.

Wartość „asszu“ nie leży wyłącznie w słodocy, lecz bodaj głównie w aromacie i smaku, czego się nie da żadnemi środkami wytworzyć sztucznie.

Nazwy, dawane u nas różnym gatunkom win węgierskich, niezupełnie są zgodne z ich nazwami właściwemi. Naprzykład: my nazywamy maślaczem wina słodkie, mocne, wystale, mając zapewne na uwadze jego gęstość i smak łagodny, jakby tłusty. Na Węgrzech maślaczem nazywają wina gorsze, wtórne, wyrabiane z gorszych gatunków win, nalewanych na pozostałość po wytłoczeniu win lepszych; pozostałość ta nadaje im nieco słodocy i aromatu. Nazwa zielniaczka tam też nie jest znana: wina młode, lekkie, stołowe, nazywa się tam „ordinarium“.

Wysokim gatunkiem wina jest tak zwane wina samorodne, wyrabiane z gron, z których dojrzale, cenne „asszu“ nie zostały wybrane. Ma ono wyborny aromat i smak, jest jednak winem raczej wytrawnem, o smaku zmiennym, zależnie od gorętszej lub mniej gorącej temperatury lata, a co zatem idzie, od ilości tych słodkich jagódek. Wino samorodne cechuje charakterystyczny smak skórki świeżego chleba — smak, tylko w węgierskich, oryginalnych winach spotykany. Równie charakterystyczny jest tylko w starych węgryznych zapach myszki i śliczna, złocista obrączka na szkle kieliszka.

Ta mała część Węgier, te dwadzieścia osiem gmin produkują rocznie przeciętnie około 100.000 hektolitrow wina, olbrzymią ilość, w której jednak ten cenny, leczniczy i deserowy „asszu“ stanowi tylko nieznaczny odsetek — około 5 proc.

Na wina samorodne idzie 30 do 40 proc. tej produkcji, reszta — to wina stołowe, jednak wszystkie o specyficznym, niedającym się niczem zastąpić, aromacie win tokajskich. Mam wrażenie, że do nas głównie te ostatnie tylko dochodzą.

Pani Elżbieta.

KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO — ZWIĄZEK PAŃ DOMU

W ostatnich tygodniach Zarząd Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, na ogólnym zebraniu członkiń, złożył sprawozdanie z działalności swej za rok ubiegły. Posiedzenie to było poniekąd zamknięciem okresu pracy twórczej Zarządu Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, które w najbliższym czasie działać już będzie, jako Oddział Warszawski Związku Pań Domu.

Nie znaczy to jednak, aby Koło Studjów faktycznie egzystować przestało i zamknęło na tej karcie złotą księgę swego rozwoju. Zmienia się bowiem tylko nazwa — treść pozostaje ta sama, bo zarówno Zarząd, jak i Panie-Kierowniczki poszczególnych Sekcyj, pozostają na swoich stanowiskach.

Na zebraniu ogólnym sprawozdania zarówno z działalności Zarządu, jak i Sekcyj, przyjęte były z uznaniem i wdzięcznością przez licznie zgromadzone członkinie. Każda z Pań-Kierowniczek po odczytaniu swego sprawozdania była długo i serdecznie oklaskiwana; pani Prezeska Iza Mandukowa spotkała się z entuzjastyczną wdzięcznością wszystkich zgromadzonych na sali, i z radością zanotować należy, że trzygodzinne posiedzenie upłynęło pod znakiem ogólnej harmonji, szczerego zaufania i jak najlepszego porozumienia.

Zarówno zwięzłe i treściwie zreferowana działalność Koła za rok ubiegły, jak i wszystkie, szeroko zakrojone plany na najbliższą i dalszą przyszłość, spotkały się z całkowitą aprobatą wszystkich członkiń.

Trzeba przyznać, że w społeczeństwie, które słusznie, czy niesłusznie, jednak stale jest pomawiane o brak solidarności i krytyczne nastawienie, objaw ten jest godny zanotowania i podkreślenia, a co ważniejsze, każe się spodziewać, że działalność Związku Pań Domu potoczy się po równie prostej i wiodącej do celu linii szybkiego rozwoju.

Koło Studjów Gospodarstwa Domowego jest instytucją młoda, zrodzoną w erze powojennej, w erze twórczej, a jednak mało sprzyjającej spokojnej, normalnej pracy nowego stowarzyszenia, rozpoczynającego swą działalność dosłownie z dzieścioma palcami z punktu widzenia materialnego.

Czego może dokonać zrozumienie potrzeb chwili, zapal i dobra wola, świadczą najlepiej doroczne sprawozdania Zarządu Koła, który staje w obliczu swoich członkiń nie z szumnymi frazesami i szczytnymi hasłami, ale z realnymi dorobkami.

Pomimo braku własnej siedziby, co tak bardzo utrudnia normalną i spokojną pracę, Koło Studjów w sezonie jesienno-zimowym zorganizowało szereg kursów praktycznych z dziedziny gospodarczej nie tylko dla swoich członkiń, ale i dla ich pomocnic domowych.

Zarówno Kursy gotowania skromnego, wykwińskiego, wypieku ciast, jak i kilkodniowy kurs prania, oraz sześciotygodniowy kurs dla pomocnic domowych — cieszyły się stałym powodzeniem i dały jak najpomyślniejsze wyniki.

Dorocznym zwyczajem, Koło Studjów zamknęło rok towarzyskim zebraniem, które odbyło się w salonach Rady Miejskiej w Ratuszu, gromadząc liczne grono członkiń i gości, którzy przy dźwiękach muzyki bawili się całym sercem, pokrzepiając siły przy suto zastawionym i świetnie zorganizowanym bufecie.

Dochód z czarnej kawy wpisano na dobro funduszu, który ma pokryć koszt własnej siedziby dotychczasowego Koła Studjów, a w najbliższej przyszłości Centrali i Warszawskiego Oddziału Związku Pań Domu.

Ta własna siedziba, która oddawna była marzeniem Zarządu, rozumiejącego, jak doniosłe znaczenie będzie ona miała

dla dalszego rozwoju Koła, staje się dzisiaj koniecznością, dla zorganizowania: biur, wzorówki, sal wykładowych kursów, poradni, biblioteki, czytelnicy, sal, w których odbywać się będą posiedzenia towarzyskie, zebrania, zjazdy delegatek oddziałów prowincjonalnych i zjazdy ogólne Związku Pań Domu. O żywotności tej sprawy, która była jedną z najgłośniejszych komentowanych na ostatnim zebraniu ogólnym, świadczy fakt szybkiego i chętnego wykupywania przez członkinie i grono sympatyków cegiełek, których cenę, licząc się z kryzysem, jaki przeżywamy, przeliczono na zł. 5. Poza to jednogłośnie zapadł wniosek, upoważniający Zarząd do utworzenia listy składek, na którą wpisywać można datki poniżej ceny jednej cegiełki. Każdy grosz będzie przyjęty z wdzięcznością.

W dniu 21 kwietnia rozpoczął się dwudniowy zjazd delegatek Koła Warszawskiego i Kół Prowincjonalnych Związku Pań Domu, który prowadził obrady nad statutem Związku, rozpatrując punkt po punkcie wszystkie paragrafy.

Obradom przewodniczyła pani Eleonora Czarnowska z godnym podziwu taktem, serdecznością i subtelnością, które wytworzyły na sali ciepły nastrój i jak najlepsze porozumienie.

Pani Prezeska Iza Mandukowa, która tak świetnie zorganizowała zapisany złotymi zgłoskami w pamięci wszystkich uczestniczek Pierwszy Ogólnopolski Zjazd Pań Domu i położyła tem samym kamień węgielny pod działający już dzisiaj na całym terenie Rzeczypospolitej Związek, oświetlała poszczególne paragrafy statutu w sposób wysoce rzeczowy i świadczący o tem, z jak wielkim nakładem pracy projekt ten został przez Komitet Organizacyjny przemyślany i opracowany.

Ożywiona dyskusja, wolna od starć i zgrzytów, spowodowała kilka nikłych poprawek, przyjętych przez aklamację.

Uchwalenie statutu — to punkt zwrotny w egzystencji kilka miesięcy zaledwie pracującego Związku, którego wszystkie Oddziały kroczyć już będą odtąd po jednej linii rozwoju.

W pierwszym dniu Zjazdu, po czterogodzinnej przerwie, uczestniczki zgromadziły się w lokalu Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek, gdzie Zarząd Koła Studjów Gospodarstwa Domowego podejmował je „domowym“ podwieczorkiem.

Prócz ciekawych referatów, wygłoszonych przez Panie: Halinę Mamelokową z Sosnowca: „O bibliotekach i czytelnicy“, Wandę Ładzinę: „O pracy na terenie Łodzi“; Marię Karczewską: „O wciągnięciu młodych sił do współpracy“, Izę Mandukową: „O kursach i prowadzeniu Sekretarjatu Oddziałów“ — odczytano sprawozdanie z pobytu w Budapeszcie p. Idy Dawidowiczowej, oraz opis Związku Węgierskich Pań Domu.

Czas wypełniła ożywiona rozmowa, której tematem były ciekawe opowieści poszczególnych Pań Delegatek prowincjonalnych o tem, w jakich warunkach powstają i jak się rozwijają ich Oddziały. Reasumując wszystko słyszane, trzeba wierzyć, że powołanie od życia Związku Pań Domu było najistotniejszą potrzebą chwili i trudno powstrzymać się od wyrażenia głębokiej wdzięczności i uznania wszystkim paniom, z panią Izą Mandukową na czele, które Związek do życia powołały.

Znając szczerze zainteresowanie, z jakim nasze Szanowne Czytelniczki odnoszą się do spraw, związanych ze Związkiem Pań Domu, postaram się dostarczać Im stale sprawozdania z działalności i rozwoju zarówno Warszawskiego, jak i Prowincjonalnych Oddziałów, opierając się na wiadomościach źródłowych.

Wanda Dobrzańska.

MAŻ PANI

będzie zachwycony, gdy zobaczy kołnierza, lub koszulę praną w ASKO.

ASKO Sp. Akc. Chłodna 5 tel. 502-54 646-67

perze wykwiennie ■ tanio ■ punktualnie ■ bez chlorku
Kilkadziesiąt sklepów przyjmuje koszule i kołnierze do prania w ASKO. — Informacje telefonicznie.

Cerownia sztuczna podartych sukien, ubiorów, jedwabi oraz specjalny dział cerowania bielizny stołowej systemem zyrardowskim, stare krawaty wytarte przerabiamy na nowe

S. KELLER — Warszawa I
Marszałkowska 118, Nowy-Świat 37, Twarda 24.
Informacje: 219-49 lub 616-93.

499

PRZEPISY GOSPODARSKIE

MUS Z SZYNKI W GALARECIE.

Z rosolu mięsnego lub smaku z jarzyn, zaprawionego buljonem suchym czy kostkami buljonowymi i żelatyną białą, w pierwszej wyczonej w zimnej wodzie, a potem dopiero rozpuszczonej w gorącym płynie, zrobić litr galarety. Bierze się zimą osiem do dziesięciu listków żelatyny na litr smaku, latem — dwanaście. Szklanekę tej galarety wlać do formy, wyłożonej listkami pietruszeczki, zielonemi korniszonami i plasterkami jaj na twardo. Zastudzić.

Z łyżki masła, łyżki mąki i szklanki dobrego mleka lub słodkiej śmietanki ugotować bardzo gęsty sos beszamelowy. Pół kilo gotowanej, przerastającej szynki, przepuścić dwa razy przez maszynkę, dodać beszamel, przepuścić razem poraz trzeci. Masę tę zaprawić do smaku pieprzem białym, odrobiną Cabulu lub Worchesteru. Zmieszać z połową pozostałej galarety, którą należy trzymać w ciepłe, aby nie zastygła. Przełożyć mus ten do formy, zastudzić. Gdy zupełnie stężeje, zalać pozostałą stygnącą galaretą i poraz trzeci zastudzić.

Podając, wyrzucić na półmisek, ubrać wkoło sałatą zieloną lub sałatą jarzynową mieszaną. Podać do tego sos tatarski, majonezowy lub musztardowy.

KARTOFLE Z JAJAMI I CHRZANEM.

Kilo kartofli ugotować w mundurach, oczyścić, dopóki gorące, pokrajać w cienkie plasterki. Pięć jaj ugotować na twardo i pokrajać też na plasterki. Utrzeć spory korzeń chrznanu, posypać łyżeczką cukru, posolić, polać octem, dać tak postać godzin parę, aby zbytnią ostrość stracił. Łyżkę mąki zasmażyć na białą z łyżką masła, włożyć w to chrzan, zasmażyć razem, rozproszając rosół lub wodą do gęstości zwykłego, zawiesistego sosu. Dodać półkwaterek kwaśnej śmietany, raz tylko zagotować razem. Półmisek metalowy wysmarować masłem. Rzędami układać kartofle i jaja. Pokryć chrzanowym sosem, którego powinno być obficie (nie mniej od trzech szklanek). Po wierzchu posypać bułeczką i wstawić na kwadrans w gorący piec dla zrumienienia. Podawać na tym samym półmisku.

RABARBARUM W GALARECIE.

Pół kilo bardzo grubych łodyg rabarbarowych (uszlachetnionego gatunku), pokrajać w kawałki, rozmiaru włoskiego orzecha i ugotować w syropie z trzech szklanek wody i trzydziestu deka cukru. Aby się owoc nie rozgotował, należy gotować bardzo wolno, trzymając rondel na brzegu blachy. Prze-

łać na durszlak. Kawałki owocu ułożyć na salaterce. Pozostały syrop sklarować białkiem, rozbitym z łyżką zimnej wody, przedzić przez gęste płótno, dodać kieliszek rumu lub araku. Na każdą szklanekę płynu rozmoczyć w zimnej wodzie trzy listki białej żelatyny, rozpuścić ją w gorącym płynie. Stygnącą galaretą zalać rabarbarum, wynieść na chłód; gdy zastygnie, podawać w tem samym naczyniu. Kto lubi leguminy bardzo słodkie, może znacznie powiększyć ilość cukru w tej galarecie.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Przenumeracje z Zakopanego. — Arkusze wzorów dodawane są co drugi numer stałe. Na tablicach kroju podajemy od czasu do czasu fasony ubrań dzieciennych. Jeżeli Sz. Pani pragnie często mieć dzieciinne modele, proszę zaprenumerować dwutygodnik „Dziecko i Matka“, gdzie podawane są tylko dzieciinne sukienki.

Pani W. T. — Lida 3. — Serwetka z szarego płótna 45 cm. w kwadrat, narysowana podług przysłanego wzoru, zaczęta ścięciem japońskim, z dodatkami, kosztować będzie do piętnastu złotych.

Postępowej. — Adres p. Sylwji Bujak-Boguskiej: Nowowiejska 9; p. Heleny Wiewiórskiej: Hoża 20; Boya-Żeleńskiego: Smolna 11.

Przypominamy Paniom Przenumeratorkom, że dla otrzymania odpowiedzi wymagane jest nadesłanie wyraźnego adresu, imienia i nazwiska oraz 30 gr. znaczkami pocztowymi. Odpowiadamy według uznania listownie, lub w piśmie.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Eugenja Bulińska w Radomsku. — Ślady po ospie mogą być usunięte, jednakże tylko wówczas, gdy nie są zbyt duże. Ostrzegam Panią przed różnemi zakładami kosmetycznemi, pozbawionemi kierunku lekarzy-specjalistów, albowiem widziałam dużo wypadków wprost skandalicznych, będących rezultatem nieodpowiedniego leczenia. Samej przeprowadzać kuracji nie można, więc sposobów nie podaję, gdyż byłoby to bezcelowe. Najlepiej Pani zrobić, jeżeli uda się do lekarza specjalisty-kosmetyka.

P. Stefanja Łaniewska w Szczuczynie k/Lidy. — Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, o co Pani chodzi. Czy myślała Pani o skrzepach, czy też może o żyłakach? Najlepiej byłoby opisać swoje dolegliwości, gdyż w rozpoznaniu choroby czytelniczki zazwyczaj się mylą. Prosiłabym więc o podanie wieku i możliwie dokładny opis cierpienia, czasu trwania, zewnętrznego wyglądu, warunków, w jakich się zaczęło i t. p., a wówczas dam możliwie wyczerpującą odpowiedź.

DROBNE OGŁOSZENIA

AKUSZERKA HAHN udziela porad paniom miejscowym i przyjezdnym. Hoża 1a m. 4, tel. 8-53-05.

POSZUKUJE posady do dzieci od 1 czerwca. Posiadam 4 kl. gimnazjum i kursy kroju i szycia. Adres: Łuck, maj. Ostrowiec. W. Pawłowska.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.